

Chrześcijańskie Czasopismo dla Kobiet

ISSN 1233-7161

Samarytanka

nr 98 (2/2012)

kwiecień, maj, czerwiec



**Jak kochać
dzieci** str. 1

**Potęga
zachęty** str. 11

**Świadectwo
uzdrowienia** str. 43

Praktyczna mądrość Boża jest nauczana na dwa sposoby. Pierwszy sposób to kiedy uczymy przez nasze słowa, przez nasze mówienie. Drugi obejmuje nauczanie przez nasze chodzenie – przez sposób, w jaki prowadzimy nasze życie. Nasze chodzenie obejmuje wszystko, co robimy i mówimy, i wszystko, czego nie robimy i nie mówimy. Nasze dzieci nas obserwują i nieustannie czegoś je uczymy: albo czegoś pozytywnego, albo negatywnego. Nie możemy przekazać czegoś, czego nie posiadamy, zatem jest konieczne, abyśmy jako matki pielegnowały pasję dla Bożego Słowa i Jego mądrości w naszych sercach. Pozwól matko, że zadam ci pytanie: czy każdego dnia poświęcasz czas, by napełniać swoje serce i umysł - oraz serca i umysły dzieci - Bożym Słowem?

Kolejną rzeczą, jakiej Bóg oczekuje od matki, jest, by zwracała się do Niego w imieniu swojego dziecka. By stała się kobietą, która się modli, która dokłada największych starań, by pielegnować prawe chodzenie ze swoim Bogiem, po to, aby mogła się modlić skutecznie o swoje dziecko. Musimy być oddane, aby prowadzić pobożne życie, ponieważ dusza każdego dziecka leży jakby w naszych rękach. Radośnie dążmy do prawego chodzenia, do prawego życia, tak abyśmy mogły modlić się skutecznie za nasze dzieci (o łaskę zbawienia, zachowania od świata, grzechu, choroby, złych ludzi, o chrześcijańskich partnerów, o właściwą pracę itp.). Ty i ja nigdy się nie dowiemy po tej stronie nieba, co osiągnęły nasze modlitwy w imieniu naszych dzieci!

Pamiętajmy, że Bóg jest chętnym i potężnym partnerem, gdy wychowujemy dzieci tak, by poznawały i kochały Go oraz Mu służyły. Czytamy w Słowie napisanym przez ap. Piotra (1 P 3,8-15 *Słowo Życia*):

**Wszyscy zaś żyjcie jak jedna, wielka, szczęśliwa rodzina,
we wzajemnym zrozumieniu, miłując się szczerze
i w pokorze ducha. Nie odpłacajcie złem za złe.
Nie odpowiadajcie złośliwie, gdy wam ktoś ubliży,
ale raczej okażcie mu swą życzliwość.
Bóg będzie was wtedy błogosławił.**



W Księdze Przysłów 14,1 czytamy: *Mądrość kobiet buduje ich dom*. Ten werset nie mówi o konstruowaniu domu, lecz o budowaniu domu; jednoczeniu się rodziny oraz codziennej rutynie kreowania szczęśliwego i wygodnego miejsca dla domowników. A kto jest odpowiedzialny za jakość życia w miejscu, gdzie mieszka rodzina? Kobieta! Ona nadaje ton i utrzymuje atmosferę wewnątrz domu. W rzeczywistości ten fragment naucza, że jeśli kobieta jest mądra, to pilnie i celowo kreuje taką atmosferę. Nie bazuje na nadziei, że tak się po prostu samo stanie.

Podoba mi się porównanie kreowania atmosfery w domu do używania termostatu regulującego temperaturę wewnątrz budynku. To ty decydujesz, jaka ma być idealna temperatura dla twojej rodziny i ustawiasz pokrętko na odpowiednią temperaturę. Następnie termostat pracuje samodzielnie, aby utrzymać wskazaną temperaturę w twoim domu. Jeśli robi się za gorąco, automatycznie włącza chłodne powietrze, by trochę dom ochłodzić. Jeśli robi się za zimno, termostat otrzymuje sygnał i zabiera się do pracy ogrzewania domu.

Cóż, ja również odkryłam, że w moim domu to ja najczęściej jestem termostatem! Pragnę, żeby atmosfera w domu była ciepła, wesoła, kochająca, pozytywna i konstruktywna. Zatem staram się czytać Boże Słowo każdego ranka (w ten sposób stawiam Boga na pierwszym miejscu) i modlić się, dając Panu sposobność nastawienia temperatury mojego serca tak, by dorównała potrzebom i wyzwaniom, jakie napotkam w mojej rodzinie (bycie żoną, matką, jakiej potrzebują domownicy tego dnia).

Następnie zaczynam pracować nad utrzymaniem komfortowej temperatury w moim domu. Jeśli zaczyna się robić gorąco - pojawiają się nerwowe słowa, wybuchowość lub gwałtowne emocje - nie daję się sprowokować, lecz zabieram się do wprowadzania orzeźwiają-

cych, kojących słów: *Łagodna odpowiedź uśmierza gniew* (Prz 15,1) oraz słów przynoszących pokój: *A owoc sprawiedliwości bywa zasiewany w pokoju przez tych, którzy pokój czynią* (Jk 3,18). Podobnie, jeśli atmosfera zaczyna się ochładzać - serca robią się chłodne, załęknięte, ozięble się traktujemy, zabieram się do pracy, dając dobre słowo, które rozwesela (Prz 12,25), pamiętając, że *radosne serce rozwesela oblicze* (Prz 15,13) oraz że *człowiek wesołego usposobienia ma ustawiczną ucztę* (Prz 15,15). Wtedy przygotowuję ulubione dania czy desery, by przy takim posiłku rozładować nagromadzone napięcia. Dogadzam, dając sygnał, że zależy mi na domownikach, że chcę im sprawić przyjemność.

Takie okresy są wyzwaniem, lecz w odpowiedzi na wiele wyszeptanych modlitw, Bóg daje mi serce, mądrość oraz słowa potrzebne do wykreowania zdrowej atmosfery. On robi to samo dla ciebie, gdy będziesz budować atmosferę swojego domu. Nasze dzieci, jak również mężowie, mogą być zbudowani dzięki naszym wysiłkom. Pewien doradca zrelacjonował, że „bezpieczne życie domowe zazwyczaj redukuje frustrację oraz niepokój w życiu dziecka i daje mu zdolność do skutecznego radzenia sobie z presjami”.

Fragment z Księgi Przypowieści 14,1 zaczyna się słowami:

Mądrość kobiet buduje ich dom. Lecz druga połowa jest tak samo istotna: (...) lecz głupie własnoręcznie go burzą.

Jak kobieta może zburzyć swój własny dom? Po pierwsze, może spowodować wielką szkodę aktywnie: przez gniew, który wymyka się spod kontroli, wywołując zamęt, chaos, agresję, rozdziera poprzez wypowiedane słowa, które łamią, niszczą, rujną i zabijają

wszelkie dobre uczucia czy relacje. Drugi sposób na zrujnowanie domu to sposób bierny: po prostu nierobienie niczego. Możemy powoli podkopywać fundamenty naszego domu przez własne lenistwo, przez niezabranie się do zrobienia czegoś, przez zaniedbanie, przez zapomnienie, przez skuteczne odkładanie rzeczy na później, przez niespędzanie wystarczającej ilości czasu w domu. Jest też problem z tym, czego robi się za dużo: za dużo oglądania telewizji, za dużo czytania i najnowsze - za dużo czasu w internecie.

Mądra kobieta jest świadoma, że ma zadanie od Boga i wie, że budowanie domu to przedsięwzięcie na całe życie.

Nauka biblijna jest jasna i taka też jest różnica pomiędzy mądrą a głupią kobietą. Mądrość buduje, unikając jakiegokolwiek nastawienia czy działania, które nie buduje. Gdy moje obydwie córki dorastały, budowały swoje pokoje, które były ich „małymi domami”. Gdy sprzątałam dom, Gosia i Dorotka sprzątały swoje pokoje. Gdy ścierałam kurze, one też ścierały. Każda z nich miała swój własny kosz na brudną bieliznę. Gdy wyprałam, to po wysuszeniu składały ubrania i układały na półkach. Teraz, kiedy są poza domem, nie mają problemów, ich domy lśnią czystością, właściwą atmosferą, którą wyniosły z domu.

W Psalmie 101,2 król Dawid wyraża swoją gotowość nauczania się drogi doskonałej, aby Bóg chciał przyjść do jego domu, w którym obiecuje, że będzie chodził w niewinności swego serca. On zrozumiał, że aby Bóg mógł zamieszkać w naszych domach, musimy pozwolić Duchowi Świętemu zawładnąć naszym życiem. A wtedy owocem tego będzie panowanie miłości, pokoju, radości, wstrze-

mięźliwości, dobroci, uprzejmości, delikatności i wierności. To nie dzieje się z dnia na dzień, ale jeśli nie zaczniemy, to nigdy nie zbudujemy.

Osobiście życzę wszystkim kobietom, aby wasze domy stały się taką oazą miłości, w której wszyscy będą chodzić w niewinności serca, aby Bóg chciał zamieszkać między wami.

Jako kobiety chrześcijanki, ty i ja jesteśmy napełnione wszystkimi duchowymi błogosławieństwami (Ef 1,3). Jesteśmy napełnione Bożą dobrocią (Ga 5,22-23) oraz Duchem Bożym (Ga 4,6). Jesteśmy również obdarowane darami do służenia (1 Kor 12,7-11; Rz 12,6-8). Teraz, kiedy zostałyśmy już uzdolnione, Bóg pragnie, abyśmy dzieliły się naszymi błogosławieństwami z innymi, abyśmy inwestowały nasze życie w innych, abyśmy rozdawały Jego błogosławieństwa, abyśmy przekazywały je dalej. Jako doświadczona obserwatorka innych kobiet, wiem, że wszystko, co robisz i czego nie robisz, uczy.

Gorąco zachęcam do przeczytania świadectw i artykułów poruszających i zgłębiających ten temat. Wierzę z całego serca, że wszyscy czytający zostaną zachęceni, by stać się gorliwymi miłośniczkami wszystkich dzieci, nie tylko swoich. Tak naprawdę nasze dzieci nie są naszą własnością, дарowane nam zostały na jakiś czas, byśmy cieszyli się i służyli im w miłości najgorliwiej, jak tylko potrafimy. Możemy też stać się adoptowanymi rodzicami dla sierot, a w ten sposób staniemy się przedłużeniem błogosławiających rąk naszego Pana. Życzę przyjemnej lektury.



Tatiana Ilczuk-Hydzik

Odnalazłam swoją służbę

Pierwsze dwa lata naszego małżeństwa poświęciliśmy pełnoetatowej służbie w kościele. Po-drożowaliśmy wraz z grupą ewangelizacyjną i spędzaliśmy cały czas ze sobą, poświęcając się w zupełności Panu. Potem nastąpił „powrót do twardej rzeczywistości”, bo musieliśmy podjąć pracę zawodową. Chris pracował na nocne zmiany jako pielęgniarz, a ja zatrudniłam się jako asystentka w gabinecie lekarskim. Skończył się zatem czas wspólnego służenia Bogu, a także spędzania czasu razem. Każde z nas pracowało w innych godzinach i mieliśmy bardzo mało czasu dla siebie. Chris bardzo rzadko mógł chodzić ze mną do kościoła, bo wracał zmęczony z nocnej zmiany i potrzebował snu.

Po narodzinach naszej pierwszej córki przerwałam pracę zawodową. Zmniejszyły się moje kontakty z dorosłymi ludźmi, a kiedy po 15 miesiącach urodziła się nasza druga córka, straciłam też czas na czytanie Biblii.

Do momentu, gdy nasza najstarsza córeczka skończyła cztery latka, mieliśmy już piątkę dzieci, w tym dwóch synów bliźniaków. Mąż podjął dodatkową pracę, aby nas wszystkich utrzymać i zaczął też uczyć się w seminarium. Dzieci mieszkaly w jednej sypialni, a kuchnia i jadalnia służyły im za miejsce do zabaw.

Godzinami planowałam i poświęcałam czas na robienie zakupów i gotowanie posiłków wraz z całą piątką dzieciaków. Czasami po powrocie ze sklepu nie miałam już energii, by przynieść towar z samochodu. Po przedpokoju poniewierały się buty. Pamiętam, jak pewnego razu, gdy mieliśmy w okolicy ostrzeżenie przed zbliżającym się tornadem, kilku naszych sąsiadów poprosiło o schronienie w naszej piwnicy zbudowanej pod ziemią. Czułam się okropnie zawstydzona, gdy wchodząc, wszyscy potykali się o górę butów.

Prawda jest taka, że byłam tak zmęczona kolejnymi ciążami, że przestało mi zupełnie zależeć. Nie sprzątałam, zmuszałam się do gotowania i dbania o dzieci. Podczas mojej bliźniaczej ciąży zwróciłam się o pomoc przy dzieciach i przy sprzątaniu do grupy domowej w kościele, ale zostało to zignorowane. Staralam się jak mogłam wspierać męża w jego służbie, angażować się

w sprawy kościoła, na zewnątrz wydawałam się być pełna entuzjazmu, ale wewnątrz byłam pusta.

Pewnego razu w naszym kościele miał miejsce wykład na temat: „Jak modlić się przez godzinę każdego dnia”. Wybrałam się tam głównie dlatego, że zapewniano w tym czasie opiekę nad dziećmi, co dawało mi możliwość chwilowego wytchnienia. To, co powiedział kaznodzieja, zirykowało mnie. Gdybym tylko miała możliwość znaleźć dziennie godzinkę niczym niezakłóconej ciszy, to z pewnością chętnie spędziłabym ten czas na społeczności z Bogiem. Ale z piątką małych dzieci trudno mi było wygospodarować dla siebie choćby 15 minut! Czułam się przygnębiona i miałam poczucie winy.

Mniej więcej w tym samym czasie mój mąż powiedział mi, że odczuwa, iż powinien w ciągu następnego miesiąca przeczytać całą Biblię, co oznaczało, że będzie na to potrzebował około 4 godzin dziennie. Z jednej strony cieszyło mnie, że Chris pragnie zbliżyć się do Boga i kocha Jego słowo, ale z drugiej strony odczuwałam zazdrość i gniew. Dlaczego to on miał cieszyć się społecznością z Bogiem, zostawiając mnie tym samym z dziećmi i wszystkimi obowiązkami domowymi? Ja nie mogłam sobie pozwolić nawet na przeczytanie jednego wersetu dziennie, bo miałam tyle obowiązków.

Jednak Bóg w swojej dobroci pozwolił mi zrozumieć bardzo ważną rzecz dzięki jednej z chrześcijańskich publikacji. Niewiele pamiętam, ale jedno zdanie w niej zawarte zmieniło całą moją koncepcję na temat rodzicielstwa.

Przeczytałam, że jeśli Bóg uczynił mnie matką i całymi dniami zajmuję się domem, dziećmi,

zmywaniem naczyń, zmianą pieluch, wypełnianiem swego powołania, to w ten sposób oddaję Mu chwałę.

Tak ciężko starałam się służyć Bogu poza domem, czasami negując potrzeby własnej rodziny. Kiedy zrozumiałam, że Bóg wcale nie oczekuje ode mnie, że zaspokoję każdą napotkaną po drodze potrzebę, ale że rodzina jest moim miejscem służby dla Niego, to zaczęłam cieszyć się swoimi obowiązkami. Ta prosta zmiana w moim nastawieniu sprawiła, że stałam się szczęśliwsza, bardziej spełniona, zbliżyłam się do Jezusa i do mojego męża.

Obecnie nauczanie moich dzieci sprawia mi radość i nie jest jedynie przykrym obowiązkiem. Lubię patrzeć, jak bawią się razem, czy grają w jakieś gry, podczas gdy ja zmywam naczynia. Nie przeszkadza mi, że mój mąż pracuje, podczas gdy ja zmagam się z ubraniem wszystkich dzieciaków rano lub położeniem ich sama do łóżek wieczorem. Lubię opowiadać im historie biblijne. Zrozumiałam, że moja rola matki pozwala mi pojąć, czym jest prawdziwe oddanie i poświęcenie, co z kolei prowadzi mnie do lepszego upodobnienia się do Jezusa. Poświęcam swój sen, pragnienia, uzdolnienia do służby, poświęcam to, co uważam za dobre, by robić to, co jest najlepsze.

Bóg pobłogosławił nas kolejną córeczką, większym domem blisko moich rodziców oraz dobrze rozwijającą się działalnością gospodarczą, która pozwala mi wynająć pomoc domową. Dorastające dzieci stały się dla mnie większą pomocą i radością. Oczywiście, każdy okres w życiu ma swoje wyzwania, ale zawsze staram się pamiętać o tym, że to moja rodzina jest moim polem misyjnym i moim przywilejem jest jej służyć.

Gdybym miała możliwość ponownie przeżyć tych pięć pierwszych lat mojego macierzyństwa, to na pewno, nauczona doświadczeniem, zrezygnowałabym z tego, co zbędne w moim planie zajęć, więcej bym spała, kupiłabym drewniany stół zamiast tego ze szkła, używałabym więcej naczyń jednorazowego użytku, otoczyłabym się przyjaciółmi, którzy mogliby mnie zachęcać i wspierać.

Korzystałabym częściej z gotowych dań, jeśli byłoby to możliwe, robiłabym zakupy przez internet. Przestałabym też stale porównywać się z innymi.

Przede wszystkim jednak cieszyłabym się z różnych doświadczeń, wiedząc, że Bóg oczyszcza mnie, bo chce, abym była coraz bardziej podobna do Niego.





Teraz widzę wszystko z nowej perspektywy

Bóg widzi cały obraz naszego życia. On jest w stanie zobaczyć nasz początek i koniec w jednym czasie. Jego obraz zawiera wiele pokoleń. On widział moich pradziadków, dziadków, rodziców i mnie. Wiedział, kto będzie moim mężem, że będziemy mieli dwoje dzieci, które będą dla nas wielkim błogosławieństwem.

Jednak mimo tylu błogosławieństw są w moim życiu dni, gdy doświadczam smutku. Jest on spowodowany żalem i tęsknotą za dziećmi, które mogłam mieć, ale nie chciałam. Byłam bowiem wcześniej zagorzałą feministką i wierzyłam, że moje talenty są mi dane po to, bym mogła reali-

zować swoje plany i marzenia. Właśnie z tego powodu zdecydowaliśmy z mężem, że po przestaniemy na dwójce dzieci. W tamtym czasie nie interesowało nas, jaki obraz naszego życia chciałby widzieć Bóg. Malowaliśmy własny obrazek, według własnych upodobań. Nie myśleliśmy wcale o następnych pokoleniach i ich przyszłości. Interesowała nas tylko teraźniejszość i realizacja naszych osobistych pragnień.

**Wtedy wydawało mi się, że
mogę osiągnąć w życiu
wszystko, na co mam ochotę.
Pragnęłam mieć wspaniałego
męża i doskonałą rodzinę:
dwoje dzieci - chłopca
i dziewczynkę,
dobrą, satysfakcjonującą
pracę, świetnie urządzonego
dom, czas i energię na dbanie
o siebie, modne ciuszki,
przyjaciół. Chciałam też od-
grywać rolę cudownej matki
i mieć dzieci, które będą ko-
chały Boga. Przez kilka do-
brych lat wierzyłam, że jest
to możliwe i podążałam za
tym humanistycznym sposo-
bem myślenia.**

Po etapie „odchowania” dzieci, poszłam do pracy, aby wykorzystywać swoje talenty, a dzieci powierzyłam trosce i nauczaniu obcych ludzi. Z zewnątrz mój „doskonały obraz” wyglądał dobrze, ale zaczęłam sobie zadawać pytanie, za jaką cenę. W tym wszystkim moje

dzieci odbierały z mojej strony sygnał, że praca jest czymś ważniejszym niż one, że moja odpowiedzialność wobec innych ludzi jest ważniejsza, że ładny dom, drogie zabawki, zadbane wygląd mają swoją cenę i są w naszym życiu rodzinnym ważniejsze niż Bóg. Obserwując mnie, dzieci z pewnością mogły wyciągnąć wnioski, że życie z Bogiem nie było moim najwyższym priorytetem.

Rezultatem takiego stylu życia było to, że moje dzieci nie pragnęły relacji z Bogiem, a nasze relacje z nimi też nie były bliskie. Fascynowały się stylem życia propagowanym w otaczającym ich środowisku. Zaczęłam się zastanawiać, dlaczego nie jestem dla nich ważna. Czy Bóg nie pragnie, aby rodzice wpływali na rozwój swoich dzieci i byli odpowiedzialni za przyprowadzenie ich do Niego? Zadając sobie te pytania, doszłam do wniosku, że to my z mężem jesteśmy odpowiedzialni za przekazanie swoim dzieciom prawdy o Bożym Królestwie i Jego drogach.

Bóg wyposażył rodziców w zdolność do nauczania i przekazywania Jego prawd z pokolenia w pokolenie. On widzi cały obraz. On od razu widział życie pierwszych ludzi - Adama i Ewy - oraz nasze życie - moje i mojego męża. Jeśli my zaprzestaniemy przekazywać prawdę o Nim kolejnym pokoleniom, to zaburzymy zaplanowany przez Boga porządek. Zobaczyłam to wyraźnie i zadrżałam na samą myśl o tej odpowiedzialności. Gdyby ktoś po drodze to zaniedbał przez te 6000 lat, to ani ja, ani mój mąż nie mielibyśmy szansy Go poznać...

Zaczęłam wtedy myśleć o czymś więcej niż czubek mojego własnego nosa. Chwała Bogu, że nie pozwolił na to, abym dłużej trwała w tym egoizmie. Zobaczyłam piękniejszy obraz, na którym moje dzieci dzięki nam mogą poznać Boga. Dzięki nam nasze wnuki Go poznają. Jeśli jednak nie zajęłabym się swoimi dziećmi, to kto pouczyłby moje wnuki i prawnuki?



**Wiele czasu potrzeba na to,
by przekazać następnemu pokoleniu
chrześcijańskie wartości.
To wymaga dużego poświęcenia
i wytrwałości.
Musiałam podporządkować temu zadaniu
całe swoje życie.
Niełatwo jest przekazać kolejnemu pokoleniu,
jak chodzić Bożymi drogami.**

Trzeba być z dziećmi blisko każdego dnia i własnym przykładem pokazywać, jak to się robi. Trzeba umieć pomóc, gdy zmagają się z problemami, walczą z pokusami. Trzeba być wzorem do naśladowania i uczyć, jak uprzejmie rozmawiać z młodszym rodzeństwem, jak szanować rodziców, jak miłować bliźnich. Bóg chce, abym pokazała im, że są dla mnie błogosławieństwem. On chce, abym wskazała im, że Jego drogi są doskonałe, czyste i najlepsze. To wymaga wiele energii i bliskości z Bogiem, nauczania i uświadamiania dzieciom, zanim złapią tę wizję i przylgną do Bożych prawd.

Wszędzie, gdzie się obejrzę, widzę, jak szatan stara się powstrzymać rodziców przed przekazywaniem duchowego dziedzictwa swoim dzieciom. Nieprzyjaciół mocno pracuje, by zdusić to Boże ziarno. Chociaż straciliśmy z mężem dużo czasu, to nie poddajemy się i staramy się przekazać Boże prawdy dwójce, którą mamy. Każda minuta jest cenna. Teraz dopiero widzę, jak Bóg kocha pokolenia, kocha dzieci i chce, abyśmy mieli ich wiele. Im więcej ich mamy, tym więcej możemy przyprowadzić do Niego. Im więcej ich mamy, tym więcej strzał w naszym kołczanie, aby pokonać wroga. Jak mówi Ps 127,3-5: *Dzieci nasze są darem od Pana, nagrodą - owocem żywota. Jak strzały w rękach wojownika, tak synowie zrodzeni w młodości. Szczęśliwy, co takimi strzałami wypełnia swój kołczan, gdy dojdzie do rozprawy z wrogami w bramie miejskiej, nie poniesie klęski.*

Pewnego dnia ten fragment stał się bardzo bliski memu sercu. Bóg nie powiedział, że moje uzdolnienia, mój dom i przyjaciele są moim darem i nagrodą, lecz są tym moje dzieci. Teraz moim celem w życiu stało się to, by być taką matką i żoną, jak ta opisana w 31. rozdziale Przypowieści Salomona: *Zaufało jej serce męża, bo ma z tego same korzyści. Czyni mu bowiem tylko dobrze, nigdy źle, przez wszystkie dni jego życia.*

Wiem także, że Pan chce, abyśmy nadal byli posłuszni Jego poleceniu z 1 Mż 1,28 oraz 9,7: *pobłogosławił im, mówiąc: Bądźcie płodni i rozmnażajcie się.* On nie odwołał swoich słów. Tak więc obecny plan dla mojej rodziny, jak wierzę, to jej powiększenie poprzez adopcję. Teraz, kiedy widzimy już ten Boży obraz, że dzieci są darem od Pana, pragniemy mieć ich więcej. Zrozumieliśmy, że życie nie kończy się na nas, ale przechodzi w następne pokolenie. Obecnie dbamy o naszą dwójkę, ale być może w przyszłości pojawiają się u nas kolejne dzieci. Na pewno jednak zadbamy o to, by Boże dziedzictwo przeszło na kolejne pokolenia.

Potęga zachęty

W wywiadzie radiowym, którego niedawno udzieliłem, zadano mi następujące pytanie: „Jeśli miałby pan szansę jeszcze raz od nowa zacząć życie rodzinne, co by pan zmienił? Proszę podać tylko jedną rzecz”. Odparłem bez namysłu: „Z pewnością nie zmuszałbym przez te pierwsze lata moich najbliższych, by stali się takimi ludźmi, jakimi tak naprawdę nie mogli być. Gdybym dostał jeszcze jedną szansę, to z pewnością łatwiej zaakceptowałbym ich takimi, jakimi są. Zamiast oceniać, ile im jeszcze brakuje do moich wykrzywionych wyobrażeń o ideale, szybciej dostrzegłbym ich mocne strony i zachęcałbym każdego, żeby rozwijał swój potencjał i zdolności, jakie zostały mu dane”.

Najcenniejszy dar

Jedną z najważniejszych rzeczy, jakimi możemy obdarzyć naszych najbliższych, jest akceptacja. Jeżeli zaczną podejrzewać, że nie są akceptowani, zwątpią, czy tak naprawdę ich kochamy. Dobrze pamiętam te chwile, kiedy ja sam nie umiałem zdobyć się na taką akceptację. Próbowałem zmieniać wszystko i wszystkich, z wyjątkiem siebie.

Chciałem, żeby Kate złapała sportowego bakcyła, jak Lloyd. Chciałem, żeby Lloyd garnął się bardziej do nauki, jak Kate. Chciałem, żeby moja żona Diana była szczuplejsza, wyższa, bardziej przebojowa... Tak naprawdę nie mieli szans, żeby mi dogodzić, bo ja nie chciałem, żeby byli sobą. Chciałem, żeby stali się zupełnie innymi ludźmi.

Nie wiem dokładnie, kiedy nareszcie zrozumiałem swój błąd i zacząłem myśleć inaczej, ale jedno jest pewne: zmieniłem się. Na-

uczyłem się doceniać odmiennosć i swoisty charakter każdego z nas, nasze specyficzne cechy i uzdolnienia. Nauczyliśmy się również o tym rozmawiać. Naturalnie, Lloyd nieraz doprowadzał mnie do szału bałaganem w swoim pokoju. Nie umiałem też obojętnie przejść obok faktu, że od kiedy ukończył siedem lat, nie odrobił ani jednego zadania domowego z geografii. Mimo to wiedziałem, że Lloyd ma wielkie serce i że każdy, kto jest w potrzebie, może liczyć na jego pomoc i wsparcie. Posiadał też inne cechy, których mogłem mu tylko zazdrościć. Gdziekolwiek się znalazł, zawsze był duszą towarzystwa.

Kiedy tylko zacząłem dostrzegać u niego te cechy i nauczyłem się je cenić, nasze relacje bardzo się poprawiły. Lloyd zdawał sobie sprawę, że żaden rodzic będący przy zdrowych zmysłach nie zamieniłby świadectwa szkolnego Kate na jego świadectwo. Jednocześnie wiedział, że nie tylko akceptuję fakt, iż są z siostrą różni, ale - na dodatek - że ta ich inność mnie cieszy.

Podobnie z Kate i Dianą. Narzuciłem sobie pewien zwyczaj - świadomego, podejmowanego wysiłkiem woli DOCENIANIA wyjątkowych przymiotów każdej z nich, zamiast dotychczasowego narzekania i wytykania im przypadłości, których wcale nie miały. Zmienić kogoś - to chyba niemożliwe. Możesz jednak zmienić siebie. Zmiana dokonująca się w rodzinie - wśród ludzi o tak bliskiej zażyłości - to zjawisko fascynujące. Ma ono charakter dynamiczny. Jeśli zmieniasz się ty, wkrótce zmieniają się inni.

Akceptacja nie oznacza aprobaty złych zachowań, języka sarkazmu czy ironii. Nie jest

też równoznaczna z porzuceniem wszelkich nadziei na to, że ten czy ów może się zmienić. Akceptacja to raczej zaniechanie „życiowej misji” przemieniania najbliższych - te niepowtarzalne, wyjątkowe indywidualności - na nasz obraz i podobieństwo.

Do tej pory mówiłem o moich błędach. Pozwólcie więc, że wspomnę teraz nieco o tym, co mi się udało. Moja Katie jest już mężatką. Gdybyście ją poznali, od razu stwierdzilibyście, że nie jest to z pewnością najbardziej przebojowa osoba, jaką spotkaliście. Ale ostatnio wyznała: „Wiesz, tato, powiem ci, dlaczego nie mam już oporów przed kontaktem z ludźmi i dlaczego udało mi się poradzić ze stresem w nowych dla mnie sytuacjach. Wiesz, dlaczego mogę dziś wierzyć w swoje możliwości? To dzięki tobie! Dlatego, że jak byłem mała, zawsze mówiłeś: „Świetnie ci się to udało” albo: „Zrobiłaś pyszne zapiekanki”, albo: „Jesteś w tym naprawdę dobra!”. Zrozumiałam, że byłeś pierwszym mężczyzną w moim życiu, który mnie całkowicie zaakceptował. Sprawileś, że mogłam czuć się rzeczywiście wyjątkową osobą”.

Siła zachęty

Pamiętam moje podwórkowe zabawy z dzieciństwa, tak jakby to było wczoraj. Zналиśmy mnóstwo rozmaitych wyliczanek, rymowanek, powiedzonek, bardziej lub mniej absurdalnych, jak to dzieci. Jedną z nich, którą uważaliśmy wówczas za całkiem przeciętną, brzmiała mniej więcej tak: „Głupi kijem tłumaczył krowie i zdechła mu w rowie. A osiołek cały dzień pracuje, bo go mądry poklepuje”. Jeżeli ktoś zapytałby, jaką prawdę o życiu chciałbym pojąć dużo wcześniej, gdyby to tylko było możliwe, wskazałbym na mądrość, kryjącą się w słowach tej rymowanki. Gdybyśmy zgromadzili wszystkie wzorcowe rodziny świata, biedne i bogate, zastępcze, pełne bądź z samotnym rodzicem, te mające statystycznie 2,2 dziecka oraz tak liczne, że

mogłyby wystawić piłkarską reprezentację, wspólnym elementem, który zapewnił im najwyższą jakość życia rodzinnego okazałyby się dwie rzeczy: zachęta i wsparcie. Ich potencjału nie da się przecenić. Gdybym tylko mógł cofnąć czas, za młodu prawilibym mojej żonie o wiele więcej komplementów, zamiast nieustannie krytykować ją bez powodu, co chyba było wówczas moim ulubionym zajęciem. Powinienem mówić: „Uroczu dziś wyglądasz” zamiast: „Wybacz, ale ta fryzura wygląda dziwnie”.

Niedawno uczestniczyłem w ceremonii wręczenia nagród sześciorgu młodym ludziom w wieku od szesnastu do dwudziestu lat. Dwoje z nich zostało wyrzuconych ze szkół. Jeden właśnie wyszedł z więzienia, a pozostali... No cóż, całą szóstkę można by określić jako jednostki szkodliwe społecznie. Rzecz polegała na tym, że dopiero co ukończyli pewnego rodzaju szkolenie. Uczono ich tam, jak wyznaczać sobie cele w życiu, jak podnieść samoocenę, jak dobrze wypaść na rozmowie kwalifikacyjnej, starając się o pracę, oraz - co najdziwniejsze - jak przemawiać publicznie.

Kursanci dopiero przedostatniego dnia zostali poinformowani, że każdy z nich będzie musiał wygłosić krótkie przemówienie do przybyłych na uroczystość gości. Bagatela, do pięćdziesięciu osób! Miałem przyjemność być jedną z tych pięćdziesięciu osób. Kursanci pojedynczo podchodzili do mikrofonu, wprowadzani przez instruktora, który zawsze zdążył szepnąć każdemu w ucho słowo zachęty. Kiedy ten czy ów przejęczył się albo nieco zająknął, stojący za nimi instruktorzy natychmiast postępowali krok do przodu i śpieszyli z pomocą. Każdego z kursantów publiczność nagradzała gromkimi brawami. Następnie mieli skomentować nawzajem swoje wystąpienia. Wypowiadali się o sobie bardzo pozytywnie: „Podobało mi się, że Helen patrzy na ludzi, kiedy do nich mówi!”, „Amy, byłaś

światna - zabawna, dowcipna, jak zawsze - i taka pewna!", „Natan kolejny raz udowodnił, że jest mistrzem zakończeń!", „Gemma, zawsze zastanawiam się, skąd w tobie tyle życzliwości dla innych”.

Kiedy już część oficjalna dobiegła końca, postanowiłem zamienić kilka słów z laureatami. Zagadnąłem jedną z nich, siedemnastolatkę, i poprosiłem, żeby powiedziała mi, czy ten kurs wniósł w jej życie coś nowego. „Mieszkam w meliniarskiej dzielnicy. Same szumowiny” - wyznała. „Życie spędziłam na ulicy. Ludzie zawsze mówili mi, że jestem stracona, i że nie ma dla mnie ratunku. Ale przed chwilą palnęłam mowę do tych wszystkich tutaj, rozumiesz? Jeśli poradziłam sobie z takim czymś, to teraz mogę zrobić wszystko! Pierwszy raz w życiu uwierzyłam, że mogę żyć inaczej.”

Ci młodzi ludzie przez osiem dni pracowali pod kierunkiem dwóch instruktorów, którzy zamiast krytykować ich za błędy, wyzywać od frajerów i życiowych bankrutów, upchnąć gdzieś w przegródce z napisem „społeczne odpady”, chwalili ich za każdy najdrobniejszy nawet postęp, zachęcali, dopingowali... Osiem dni! Nie osiem tygodni, miesięcy czy lat! Wystarczyło osiem dni, by wykazać, jak wielką i potężną moc przemienienia kryje w sobie zachęta.

Od początku, kiedy pobraliśmy się z Dianą, nie dane nam było doświadczyć realiów życia zwykłej, klasycznej rodziny. Wkrótce po naszym ślubie, a było to ze trzydzieści lat temu, przyjeśliśmy do domu na jakiś czas pewnego bezdomnego człowieka. Mężczyzna ten całe swoje życie spędził w domu opieki. Z powodów, których ani ja, ani Diana nie potrafimy dziś do końca wyjaśnić, ten człowiek został już z nami. Nie był całkowicie zdrowy, cierpiał na jakieś zaburzenia związane z procesem uczenia się. Gdy go poznaliśmy, nie żywił co do siebie żadnych złudzeń. Stwierdzenie, że miał o sobie niskie mniemanie, by-

łoby największym eufemizmem świata. Nie posiadał ani grama wiary w siebie! Ale moja żona już na samym początku postanowiła, że będziemy go zachęcać. I rzeczywiście, za każdym razem, gdy coś mu się udało, Diana zwracała na to uwagę i chwaliła go. Nieraz słyszałem, jak mówi: „Dobra robota, Ron!” albo: „Aleś ty dziś elegancki!”, albo: „Jesteś prawdziwym specem od żywopłotów!”.

Powolutku, krok po kroku, miesiąc po miesiącu, rok po roku Ron nabierał wiary we własne siły. Znalazł sobie pracę. Od tej chwili już zawsze miał zatrudnienie. Pracował w miejscowym klubie sportowym. Udzielał się również w lokalnej organizacji charytatywnej pomagającej bezdomnym. Ale wtedy, te trzydzieści lat temu, Ron zawałał chyba ze wszystkim. Naprawdę trudno wskazać choćby jedną rzecz, za którą można by było go pochwalić. Zaś Diana każdego dnia wytrwale szukała takich „powodów do dumy” dopóty, dopóki czegoś nie znalazła!

W końcu Ron nabrał nowego nastawienia do życia: patrząc w lustro przestał widzieć jedną wielką porażkę. Zaczął dostrzegać w sobie zwycięstwo. Jak ogromnej i doniosłej rzeczy dokonała przez te lata moja żona, przekonałem się pewnego dnia, kiedy Ron poszedł grać w piłkę. Nie był bynajmniej typem sportowca, ani nawet przeciętnym piłkarzem, więc gdy wrócił, nie miałem pewności, czy powinienem zapytać, jak mu poszło. „Jak tam mecz?”, odważyłem się w końcu. Ale niepotrzebnie się obawiałem. Twarz Rona rozjaśniła się w szczerym uśmiechu od ucha do ucha. „Świetnie!”, odparł z zadowoleniem. „Dwa razy byłem przy piłce, a raz nawet *prawie trafiłem w bramkę!*”

Tak więc, jeżeli naprawdę pragniesz obudzić i uaktywnić u twoich dzieci (lub małżonka) to, co w nich najlepsze, musisz zrozumieć potęgę zachęty. Nie chodzi tu o nieszczerze komplementy czy pochwały na wyrost. Chodzi o to, by zauważyć i docenić nawet naj-

mniejszy ich sukces. Afirmacja i uznanie dla innych mogą i powinny stać się życiową postawą. Mam kontakt z rodzinami, powoli, lecz skutecznie niszczoneymi od wewnątrz poprzez sarkazm, cynizm, szyderstwo. Nieraz byłem świadkiem, jak mężowie w towarzystwie upokarzają swoje żony niewybrednymi żartami na temat jakości ich kuchni czy rzekomo przesadnej tuszy. Słyszałem również, jak żony zwracają się publicznie do swych mężów mniej więcej w te słowa: „Popatrz tylko, do czego doszli inni ludzie. A ty?”

Ściska mnie w sercu, gdy widzę, jak niektórzy rodzice brutalnymi wypowiedziami zabijają w dziecku poczucie własnej wartości. Nie zapomnę słów, jakie wyrzekł w mojej obecności pewien ojciec. Rozmawialiśmy właśnie, kiedy do pokoju weszła jego trzynastoletnia córka: „Patrzy pan, przywlokła się, pokraka jedna!”. Bywa, że niszczyielska moc rodzicielskiej dezaprobaty nie wygasa wraz z upływem lat, że nęka nas i dręczy nawet w dorosłym życiu. Pewna kobieta, w dzieciństwie bardzo rzadko chwalona przez matkę, opowiadała mi, że w dniu, w którym wychodziła za mąż, matka podeszła do niej i oznajmiła: „No, no, elegancko wyglądasz!”. „A ja wcale nie chciałam wyglądać *elegancko*”, mówiła z żalem ta kobieta. „Chciałam wyglądać *pięknie*!”.

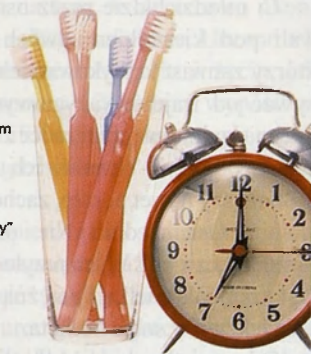
Oczywiście, w rodzinie nie zawsze da się wszystkich za wszystko chwalić. Bywają też momenty, w których trzeba powiedzieć jednemu czy drugiemu prosto w oczy, że postąpił źle, że nie akceptujemy takiego zachowania, i żeby to się już nie powtórzyło! Czasem trzeba, żeby mąż napomniął żonę, albo żona męża. Nie są to sytuacje przyjemne. Podobnie rodzice chwilami muszą być przygotowani na spadek wysokich notowań u swych dzieci.

Lecz nawet jeśli musimy zakomunikować sobie rzeczy trudne, z pewnością lepszy skutek to odniesie i łatwiej zostanie przyjęte, jeżeli wypowiedzą to usta skądinąd skore do pochwał, i jeśli jest gdzieś w tle afirmacja, uznanie i docenienie.

Istotnie, badania wskazują, że aby człowiek mógł cieszyć się życiem w całej pełni i doświadczać radości istnienia, potrzebuje zachęty i innych pozytywnych bodźców o wiele bardziej niż krytyki i napominania - w stosunku trzy do jednego. Strategią zachęty i uznania możemy z powodzeniem posłużyć się nawet w sytuacjach skrajnych.

Fragment książki pt. „O rodzinie w 60 minut” Roba Parsona, którą można nabyć w wydawnictwie Credo (credo@credo.org.pl).

„Wydaje się, że coraz częściej zapominamy, że fundamentem cywilizacji jest dobrze funkcjonująca rodzina. Ta książka pomaga odkryć jak żyć, aby ten fundament był dalej mocny i nienaruszony”
Maria Bernad – psycholog,
doradca metodyczny ds. pomocy
psychologiczno-pedagogicznej
w Katowicach



O RODZINIE W 60 MINUT ROB PARSONS

GODZINA, KTÓRA MOŻE ZMIENIĆ NA LEPSZE
RELACJE W TWOJEJ RODZINIE

Jak Bóg działa w Ugandzie



22 października 2011 roku odbyło się w zborze „Betel” w Ustroniu całodzienne spotkanie dla kobiet z udziałem Honoraty Wąsowskiej, która cztery lata temu służyła na misji w Ugandzie. Od tego czasu Bóg położył jej na serce troskę o los ludzi, zwłaszcza dzieci, wdów i innych potrzebujących. Ona i jej mąż są pomostem między potrzebującymi w Ugandzie, a Polakami, chcącymi pomóc. W spotkaniu uczestniczyły także: bratowa Honoraty – Lilian Wydra oraz Ela Kaleta. Głównie Honorata, a także jej towarzyszkii, opowiadały o życiu w Ugandzie, o problemach tamtejszych ludzi, o przybliżaniu im Jezusa Chrystusa, o okazywaniu im Jego miłości. Z tego spotkania została nagrana płyta DVD. Kupując ją, można usłyszeć i zobaczyć wiele poruszających i ciekawych relacji z życia ugandyjskiej społeczności.

W pomoc dla Ugandy zaangażowanych jest wiele zborów, społeczności, osób indywidualnych, głównie sióstr, ale nie tylko. Składają systematycznie niewielkie kwoty (10, 20, 50 zł), które zebrane razem tworzą niemałe sumy. Na przestrzeni ostatnich czterech lat wystaliśmy do Ugandy pomoc finansową w wysokości 500 000 zł. Dzięki temu można było okazać pomoc i wsparcie wielu osobom oraz przybliżyć im Jezusa Chrystusa. A więc:

- wybudowano 3 szkoły, w których uczą chrześcijańscy nauczyciele, którzy na każdej lekcji, przy omawianym temacie, napomkną dzieciom o Bogu i o Jezusie Chrystusie,
- zakupiono podręczniki dla dzieci, gdyż – głównie na wsiach – brakuje książek,
- można było sfinansować kształcenie się młodzieży w kierunku zdobycia zawodu, głównie sieroty czy dzieci wdów; tak wykształceni młodzi ludzie są w stanie zarabiać i pomagać młodszemu rodzeństwu,
- zakupiono moskitiery w celu ochrony przed komarami roznoszącymi malarię,
- urządza się przyjęcia świąteczne dla dzieci, podczas których otrzymują one w formie prezentów odzież, lampy naftowe, miski do mycia itp. potrzebne przedmioty. Przyjęcia są okazją do ewangelizacji,
- finansuje się prowadzenie przedszkola,
- udzielano pomocy finansowej pastrowi Davidowi Bushoboshi,
- przygotowywane są pakiety pomocowe dla wdów (żywność, odzież itp.),
- zakupywane są Biblie dla dzieci,
- finansowana jest budowa studni, aby ludzie mieli dostęp do czystej, zdrowej wody.

Jest wiele potrzeb, które wspólnymi siłami możemy zaspokoić. Nie każda z nas ma możliwość wyjechać do dalekiego kraju, aby w bezpośredni sposób służyć jako misjonarka.

Ale możemy mieć satysfakcję, że przez swój wkład finansowy mamy udział w dziele misyjnym, w sposób pośredni stajemy się misjonarkami i misjonarzami.

Już wiele kobiet w naszym kraju włączyło się w taki sposób w misję w Ugandzie. Zachęcamy do włączenia się w pomoc sierotom i wdowom, do czego zachęca nas Boże Słowo. Można zamówić płytę DVD (10 zł), a potem zaprezentować ją szerszemu gronu, np. w swojej społeczności, w gronie przyjaciół itp.

Życzymy poruszających wrażeń podczas oglądania i witamy w gronie osób wspierających misję w Ugandzie.

Adres i nr konta, na które można dokonywać wpłat:

**Wlkp.Stowarzyszenie Edukacyjne, Os. Wichrowe Wzgórze 10/17,
61-674 Poznań, nr konta: 58 1020 4027 0000 1902 0473 7880,
tytułem: ofiara dla dzieci i wdów w Ugandzie**

Ziemia miodem i mlekiem płynąca

Najwięcej czasu spędzam na swojej działce w stanie Tennessee. W rzeczywistości jednak, moje codzienne życie przebiega na „ziemi”, którą jest moja rodzina. Jestem przecież żoną i matką. Tutaj właśnie, na tym polu, wszystko się rozgrywa. A jaka jest twoja „ziemia”?

Możemy dowiedzieć się, co Bóg miał na myśli, mówiąc o Ziemi Obiecanej, gdy zaczniemy czytać historię ludu izraelskiego, który do tej właśnie ziemi zdążył. Bóg obiecał dać ludowi w posiadanie kawałek ziemi - Izrael. I chociaż ta obietnica literalnie odnosi się do narodu żydowskiego, ponieważ Bóg zawarł z nim wieczne przymierze, gwarantując mu tę ziemię, to myślę, że w tej obietnicy zawarte są też prawdy, z których i my możemy czerpać.

Jak Bóg opisał tę ziemię? Możemy odnaleźć 12 różnych cech, jakimi ją określił. Z pewnością jedną z nich jest to, że jest to dobra ziemia, a właściwie wyjątkowo dobra – *ziemia, przez którą przeszliśmy, aby ją zbadać, jest ziemią bardzo, bardzo dobrą* (4 Mż 14,7). Oczywiście, wszyscy wiemy, że zdobycie tej ziemi nie było przysłowiową „bułką z masłem”. To nie było zadanie dla ludzi o słabych sercach. Ta ziemia to wielkie wyzwanie. To nie jest jedynie teren nizinny (co byłoby nudne na dłuższą metę), ale są tam również góry i doliny. *Jozue oddał ich ziemię w posiadanie plemionom izraelskim, każdemu odpowiedni dla niego dział, w górach, na nizinie, na stepie, na zboczach górskich, na puszczy...* (Joz 12,7.8).

W naszym codziennym życiu, w naszych domach, nieraz musimy zmagać się z problemami, które są większe niż my (5 Mż 9,1-3). Sami na pewno nie będziemy w stanie sobie poradzić, ale mamy wspaniałą obietnicę od Boga, że On zawsze będzie z nami. Z Nim możesz zmierzyć się z górami, które stoją ci na drodze. Bóg cię nigdy nie opuści ani nie pozostawi. Kiedy lud izraelski wszedł do ziemi obiecanej, Bóg powiedział do Jozuego: *Bądź mocny i mężny! Nie bój się i nie lękaj się, bo Pan, Bóg twój, będzie z tobą wszędzie, dokądkolwiek pójdziesz.*

**Bóg nie oczekuje, że sama
podołasz zadaniu, jakim jest
wychowanie dzieci. On jest
zawsze tuż obok i chce być twoją
podporą. On otacza cię opieką
i dba o mury twego domu.
Jego oczy bacznie obserwują cię
w twojej ziemi macierzyństwa:**

Stale spoczywają na niej oczy Pana, Boga twego, od początku roku do końca roku (5 Mż 11,12). Możesz Go wzywać w każdej chwili, bo On jest źródłem mądrości i siły na każdy dzień. Jakie to wspaniałe, że to źródło nigdy się nie wyczerpie! Będziesz zadziwiona, jak wszystko się odmieni, gdy odwrócisz swój wzrok od problemów i zaczniesz patrzeć na Pana. Psalmista ogłasza: *Gdy chodzę*



wśród utrapienia, Ty zapewniasz mi życie, wbrew gniewowi mych wrogów; wyciągasz swą rękę, Twoja prawica mnie wybawia (Ps 138,7). Nawet jeśli nasze problemy nie znikają, to Pan ma moc, aby nas posilić i dodać sił, abyśmy mogli wytrwać w doświadczeniu.

Bóg nie tylko jest z tobą nieustannie, ale On zaopatruje matki w specjalne hormony, które pomagają im w trudnym zadaniu, jakim jest macierzyństwo. W czasie ciąży organizm kobiety produkuje estriol, który przeciwdziała starzeniu się, oczyszcza jajowody z ewentualnych komórek rakowych, a także działa zapobiegawczo na komórki rakowe w piersiach i cewce moczowej. Karmiące matki wydzielają prolaktynę. Ten hormon wzmacnia odporność na stres, co z pewnością jest jego ogromną zaletą. Oksytocyna - hormon uwalniany po to, by ułatwić karmienie piersią, ma również wpływ uspokajający, dzięki czemu nawet pośród chaosu, w jakim żyjemy, matka może wziąć swoje dziecko na ręce, karmić je i doznać takiego wyciszenia, że nieraz zasypia podczas tej czynności. Jak wielkie błogosławieństwo otrzymują od Boga kobiety, które podczas swoich 20-tych, 30-tych i czasami nawet 40-tych lat życia mogą czerpać z korzyści, jaką jest macierzyństwo!

Ziemia macierzyństwa jest piękna. Wychowywanie dzieci przynosi nam chwałę. Kiedy Bóg osądził Efraima za jego złe postępowanie, to zabrał mu jego chwałę. Czym ona była? Brak poczęć, ciąży i narodzin: *Efraim*

jest jak ptak, odlatuje ich sława; nie będzie urodzeń ani brzemienności, ani poczęcia (Oz 9,11). Kiedy natomiast Boże błogosławieństwo jest nad narodem, to jest tam wiele radości, świętowania i nowo narodzonych dzieci. *Słuchać będzie jeszcze głos wesela i głos radości, głos oblubienica i głos oblubienicy, głos tych, którzy przy składaniu dziękczynnej ofiary w domu Pana mówią: Dziękujcie Panu Zastępów, gdyż Pan jest dobry* (Jr 33,11). Jest to także ziemia bezpieczna i owocująca (winogrona, oliwki, figi itd. a także błogosławieństwo w postaci rosnącego przyrostu naturalnego), ziemia dająca życie, święta, obfitująca i pełna błogosławieństwa.

Ta ziemia jest obszerna. Niełatwo jest być matką, żoną i gospodynią domową. Jest to odpowiedzialna rola i staje się coraz bardziej wymagająca wraz z rozwojem rodziny. Zaczynasz jako żona, jest was dwoje, ale potem, w miarę jak Bóg obdarza was dziećmi, obowiązków zaczyna przybywać. Zazwyczaj jest też tak, że wzrastająca liczba wnuków i prawnuków zaskakuje nas. Dlatego wpływ matki jest ogromny i sięga kilku pokoleń.

Nasza ziemia „macierzyństwa” powinna się rozrastać. Czy to nie ciekawe, że szatan chce zminimalizować to rzeczywiste terytorium Izraela? Najchętniej zrobiłby wszystko, aby zupełnie zniknęło z mapy świata. Ma nadzieję, że gdyby się to powiodło, to proroctwa zawarte w Biblii, dotyczące w dużej mierze Izraela, nie spełniłyby się. Tak samo zależy mu na tym, by pomniejszyć rolę matki w rodzinie. On nienawidzi życia i zależy mu na tym, by je powstrzymywać w każdy znany mu sposób. Nie pozwól, aby udało mu się to w twoim przypadku. Masz prawo do tego, by twoja ziemia była obszerna.

Ta ziemia, dana nam żonom i matkom, musi być uprawiana z mądrością, dlatego jesteśmy zupełnie uzależnione od Ducha Świętego. W 5 Mż 11,10-12 czytamy: *Gdyż ziemia, do której idziecie, aby ją posiąść, nie*

jest taką jak ziemia egipska, skąd wyszliście, którą zasiałszy swoim ziarnem, nawadniałeś swoimi nogami, jak ogród warzywny. Lecz ziemia, do której się przeprawiacie, aby ją posiąść, to ziemia gór i dolin, zraszana z nieba wodą deszczu. Jest to ziemia, o którą Pan, Bóg twój, się troszczy. Stale spoczywając na niej oczy Pana, Boga twego, od początku roku do końca roku.

Egipt jest obrazem życia według ciała i na sposób tego świata. W Egipcie wszystko było uzależnione od tego, jak i kiedy wylewał Nil. Wodę przechowywano w specjalnych kanałach i do jej uprawy używano bosych nóg. W ziemi obiecanej nie było Nilu i wszystko zależało od Boga, który zsyłał deszcz po to, aby można było zebrać obfite plony. Tak samo jest z nami.

**Nie jesteśmy w stanie podołać
powierzonemu nam zadaniu
o własnych siłach.**

**Kiedy wychowujemy swoje
dzieci to musimy każdego dnia
polegać na mądrości i prowa-
dzeniu Ducha Świętego.
Musimy wierzyć, że Pan
zaspokoi wszystkie nasze
potrzeby. Jesteśmy
w zupełności zależne
od Jego błogosławieństwa.**

Dlatego jednym z najważniejszych aspektów rodzicielstwa jest modlitwa - wołanie do Boga za naszymi dziećmi o pomoc i mądrość. Bez Niego nic nie możemy.

Wiele matek poczuwa się do obowiązku wspierania swojego męża w zaopatrywaniu rodziny pod względem finansowym. Nie wie-
rząc, że Bóg jest w stanie zaopatrzyć ich rodzi-

nę. Jest to jak powracanie do Egiptu i osiąga-
nie plonów dzięki ciężkiej pracy w pocie
czoła. W ziemi obiecanej jesteśmy zmuszeni
w zupełności polegać na Bogu, który jest w
stanie zatroszczyć się o nas od początku roku
aż po jego koniec.

Ziemia ta „opływa w mleko i miód”. To
określenie pojawia się w Biblii 20 razy. He-
brajskie słowo *zoob* oznacza „płynąć swobod-
nie, przelewać się, buchać strumieniem”. To
nie jest ziemia, gdzie wykonujemy jedynie
zleczone nam zadanie. Tutaj działamy swobod-
nie, każde zadanie wykonując z entuzjazmem.

**Matkujemy z uśmiechem na
twarzy. Tak, jest to możliwe!
Nawet jeśli odczuwasz gniew,
postaraj się o uśmiech. Kiedy
się uśmiechniesz, to powróci
radość i cała atmosfera
w domu ulegnie zmianie.
Nie wykonujemy naszej pracy
z niechęcią, ale jesteśmy
pełne miłości, współczucia,
przebaczenia, mądrości i wielu
innych dobrych cech,
które pochodzą od Boga.**

W 1 Kor 15,58 czytamy: *bądźcie stali, nie-
wzruszeni, zawsze pełni zapału do pracy dla
Pana, wiedząc, że trud wasz nie jest daremny
w Panu.*

Kiedy obfitujemy w tym dziele, które Pan
nam zlecił, nie pracujemy nadaremno. Nasze
życie powinno być teraz przeciwieństwem
tego, co było kiedyś: obciążenia, nadludzkie-
go wysiłku, narzekania, niewoli, braku swo-
body, depresji, znudzenia. A co z twoim mę-
żem? Czy ma on zbierać „resztki” z tego, co
pozostaje z ciebie po każdym dniu pełnym

pracy i obowiązków, „resztki” twojej energii (lub jej brak)? Czy wiesz, że wcale nie musisz angażować się w każde tzw. dobre dzieło w twoim kościele albo wozić swoje dzieci na wszystkie dodatkowe zajęcia, jakie sobie tylko wymyślą? Jeśli zauważasz, że jesteś już tak zmęczona, że nie masz nic do zaoferowania swojemu mężowi, zrezygnuj z rzeczy, które nie są konieczne. Jesteś powołana przez Boga, by służyć swojej rodzinie i być obecna w domu, a nie zajmować się i być na wszystkich możliwych spotkaniach w mieście.

Ta ziemia opływa w miód. Mleko stanowi obraz odżywiania i karmienia. Przez lata życie matki upływa na karmieniu swoich dzieci mlekiem ze swoich piersi. Jesteś namaszczona przez Boga, by zaspokajać potrzeby swoich dzieci nie tylko, gdy są niemowlętami, ale także i później, gdy potrzebują dobrego pokarmu, dającego im wzrost, rozwój i odporność na choroby. Potrzebują też duchowego pokarmu w postaci Słowa Bożego, mądrości i wiedzy. Jesteśmy odpowiedzialne nie tylko za to, by przekazać dzieciom jakąś częściową wiedzę na temat Słowa, ale bogato je wyposażać w jego poznanie. Może to mieć miejsce

tylko wtedy, gdy codziennie trwamy w modlitwie i rozważaniu Słowa jako rodzina.

Twoim zadaniem jest nie tylko opływać w mleko, ale także w miód. Słodkie słowa płynące z twoich ust... Co za piękno ziemi, w której przychodzi nam żyć. Twój mąż z radością wraca do domu, gdzie słyszy twoje słodkie, miłe, pełne miłości słowa. Twoje dzieci wyrastają na słowach zachęty, motywacji, pochwały.

Są kobiety, które gardzą rolą żony i matki. Są też takie, które ją akceptują, ale żyją na granicy. Ich nogi są jakby każda w innym świecie: jedna na ziemi, którą jest rodzina, a druga na ziemi pracy zawodowej i kariery.

Często nie mają czasu, by w całości zwieźć „ziemię macierzyństwa”. Czy mogę cię zachęcić, abyś po prostu poszła i zrobiła zwiaady, co w tej ziemi jest? Zdobądź ją w całości, a nie tylko jej skrawek. Jest o wiele więcej do zobaczenia i przeżycia niż sobie nawet wyobrażasz. Poszukaj prawdy na jej temat i zdobądź wszystko, co ci się należy. *Jozue rzekł więc do synów izraelskich: Dokąd będziecie zwlekać z tym, by pójść i objąć w posiadanie ziemię, którą dał wam Pan, Bóg ojców waszych? Wybierzcie sobie po trzech mężów z każdego plemienia, a ja ich wyślę; niech wyruszą, obejdą ziemię i opiszą ją zgodnie z jej przydziałem dla nich, a potem niech przyjdą do mnie (Joz 18,3-4).*

Chociaż Bóg dał Izraelitom tę ziemię w posiadanie, to musieli jednak pójść i zdobyć ją sami. Bóg dał i nam ziemię, ale nie doświadczymy jej błogosławieństw, dopóki nie odważymy się jej posiąść.



Jak mój

Mistrz



Długo błdziłam wzrokiem po pokoju mojej dziesięcioletniej córki, czekając cierpliwie aż skończy rysować. Spojrzałam na jej sylwetkę. Siedziała pochylona nad wpół zamalowaną kartką papieru. Absolutnie skupiona, skoncentrowana tak bardzo na wykonywanej czynności, że nie przeszkadzał jej nawet niesforny kosmyk włosów spadający na oczy. Od czasu do czasu tylko energicznym, ale nieświadomym ruchem, usiłowała go założyć za ucho. Rumieńce na jej twarzy świadczyły o wielkim zaangażowaniu emocjonalnym.

Przybiegła wczoraj ze szkoły po zajęciach plastycznych bardzo podekscytowana. Wbiegła do kuchni, a ja stanęłam jak wryta na jej widok. Niezapięta kurtka, szalik wystający z rękawa, włosy rozwiane. Nie zdążyłam jednak jesz-

cze otworzyć ust, gdy ona wykrzyknęła:

- Mamo, chcę zostać malarką!

Podeszłam do niej. Schyliłam się, aby pocałować pachnącą wiatrem, rozpromienioną twarzyczkę i pomogłam jej zdjąć kurtkę.

- Idź do łazienki umyć ręce i wróć, aby mi opowiedzieć o swoich planach – powiedziałam. – A ja w tym czasie podgrzeję ci obiad – dodałam.

Kochałam ten jej entuzjazm. Jak się cieszyła, to robiła to całą sobą. Każda część jej ciała jakby wypełniona była energią, która szukała ujścia. Wiedząc, że szybko upora się z myciem rąk i za moment przybiegnie, zapaliłam gaz pod garnkiem, a z szafki wyjęłam talerz.

Za moment słyszałam, jak zakręca kran i zamyka drzwi łazienki.

- Usiądź przy stole i opowiadaj, jak to się stało, że w zeszłym miesiącu marzyłeś o zawodzie lekarza, a dziś to już nie jest aktualne – zagadnęłam.

- Mamo, zmieniałam plany, bo poczułam, że pomagać ludziom mogę w inny sposób, a dziś zainteresowałam się malowaniem – wyjaśniła.

- Ale przecież już od dawna lubisz to robić. Co zatem wydarzyło się dzisiaj, że masz takie konkretne plany? – spytałam.

Dorotka pośpiesznie usiadła na krześle, wzięła do ręki widelec, ale zanim zaczęła jeść, rozpoczęła swoją opowieść:

- Dziś pani na plastyce zaproponowała, abyśmy narysowali swój przyszły dom. Mieliśmy najpierw wyobrazić sobie, jak wygląda, a potem spróbować naszkicować obraz z naszej wyobraźni.

- I jak ci poszło?

- Chodzi o to, że nie do końca potrafiłam przedstawić moje wyobrażenie na kartkę papieru – z nutą rezygnacji w głosie odpowiedziała. – Ale już wiem, jak tego dokonać – dodała.

- A mogę wiedzieć, jaki to sposób? – zapytałam i podsunęłam jej talerz, aby zaczęła jeść, bo jedzenie stygło.

- Powiem ci jutro, jak wrócę ze szkoły – zdecydowanym głosem oznajmiła Dorotka i zaczęła jeść obiad.

- Cóż... poczekam do jutra – stwierdziłam i, uśmiechając się, wyszłam z kuchni.

Dziś wczesnym popołudniem odwiedziła mnie moja znajoma – Ewa. Chwilę porozmawialiśmy o mało znaczących sprawach. Czulałam, że chce poruszyć jakiś ważny temat, ale starałam się nie dawać tego poznać po sobie. Wreszcie przy drugiej filiżance kawy powiedziała:

- Odnoszę wrażenie, że nie potrafię żyć w pełni chrześcijańskim życiem.

Spojrzałam na nią. Wyraz jej twarzy informował, że mówi poważnie i sprawia jej to ból.

- Wy tłumacz mi, co konkretnie masz na myśli – poprosiłam.

Spuściła głowę, obserwując, jak jej palce nerwowo skubią frędzle serwety. Czekałam cierpliwie, bo wiedziałam, że zbiera myśli.

- Jezus w ewangelii Jana mówi, że przyszedł, aby owce miały życie i obfitowały. Prawda?

- Oczywiście, że tak – przytaknęłam.

- Więc dlaczego ja czuję się przygnębiona. Mam wrażenie, że ciężary dnia codziennego przygniatają mnie, odbierają radość – wyjaśniła.

W tym momencie drzwi frontowe otworzyły się z hukiem i do mieszkania wpadła zadyszana córka.

- Mamo! Mamo! Zaraz narysuję dom moich marzeń. Wiem, że uda mi się przedstawić go tak, jak go sobie wyobrażam, bo pożyczyłam od pani jej pędzel i farby – szybko wyjaśniła, zrzucając z siebie płaszczyk.

- Najpierw wypadałoby się przywitać z moim gościem i ze mną – powiedziałam, przerywając jej.

- Dzień dobry – odpowiedziała mechanicznie, wyjmując już z plecaka przybory do malowania.

- Kochanie, czy ty uważasz, że posługując się pani rzeczami, uda ci się namalować dom tak, jak byś chciała? – spytałam.

- Oczywiście! – krzyknęła i szybko pobiegła do swojego pokoju.

Przez chwilę siedziałam ze znajomą w ciszy. Sytuacja trochę mnie zaskoczyła, ale nie chciałam dać tego poznać po sobie. Nagle przyszła mi do głowy myśl, którą postanowiłam podzielić się ze znajomą. Zagadnęłam więc:

- Spójrz, moja córka sądzi, że mając w rękę przybory utalentowanej malarsko osoby, też będzie umiała malować tak, jak ona. Rozczaruje się, gdyż można tworzyć tak, jak mistrz jedynie, gdy się ma jego ducha. Zgadzasz się ze mną?

- Niewątpliwie masz rację – odparła, a po chwili spytała: – Mówiąc to, chcesz jakoś nawiązać do mojej sytuacji?

Chciałam jej to jakoś składnie wyłożyć, więc musiałam zebrać myśli i westchnąć do Ducha Świętego. Wykorzystałam fakt, że w naszych filiżankach nie było już kawy, więc wstałam, wzięłam dzbanek i powoli nalałam jeszcze gorącego napoju.

- Wiem, moja droga, że jesteś osobą, w której żyje Duch Chrystusowy. Przyjąłś go i według Pisma mieszka w tobie. I nie żyjesz już ty, ale żyje w tobie Chrystus (Ga 2,20). Ale

jesteś, jak sama mówisz, przygnębiona, przytłoczona. Brak ci radości. Może problem tkwi w tobie? – wyjaśniłam, zadając na końcu pytanie.

- Sądzę, że na pewno we mnie, bo przecież Bóg w Biblii jasno określił swoje stanowisko. Powiedział, że *owocem Ducha są: miłość, radość, pokój, cierpliwość, uprzejmość, dobroć, wierność* (Ga5,22). Wiem, że Duch mnie w życiu prowadzi, że kieruje moimi poczynaniami. Czuję Jego obecność na każdym kroku. Zastanawiam się więc, dlaczego nie mam tego wewnętrznego wyciszenia, tej wewnętrznej pogody – rozważała.

- A nie uważasz, że choć ty masz Ducha, to On nie ma cię całej? – znów zmusiałam ją do zastanowienia i odpowiedzi na pytanie.

- Jak to powinnam rozumieć? – spytała.

- Myślę, że wszelkie swoje ambicje, pragnienia, marzenia, dążenia musisz poddać jego kontroli. Czuję, że owoce Ducha będą tym mocniej się manifestować, im bliżej będziesz Ducha, im większy będzie stopień twego oddania się Mu. To proporcjonalna zależność – wyjaśniłam.

Zaległa cisza. Jeszcze przez dłuższą chwilę moje słowa odbijały się w pokoju jakby echem. Sprawily, że usta milczały, ale serce drgało.

- Powiedziałaś coś, czego sobie do końca nie uświadamiałam – powiedziała wreszcie Ewa.

Rozmawiałyśmy jeszcze chwilę, ale miałam wrażenie, że chce już wyjść i przemyśleć swoją sytuację. Nie zatrzymywałam więc jej, gdy oznajmiła, że powinna już iść. Pożegnaliśmy się, a ja, śledząc jej sylwetkę przez okno modliłam się o Bożą mądrość dla niej. Gdy zniknęła za rogiem, pobiegłam do córki.

I tak czekam cierpliwie, aż Dorotka skończy. Czekam na jej płacz, rozżalenie, zawód. Czekam modląc się o to, abym umiała jej wyjaśnić, dlaczego nie potrafi namalować tak dobrze, jak jej pani albo tak, jak sama by chciała.



Maria Magdalena

Marię Magdalенę poznajemy jako kobietę zniewoloną przez siedem demonów. Później stale towarzyszyła Jezusowi, gdy On chodził po miastach i wioskach galilejskich, opowiadając dobrą nowinę o Królestwie Bożym. Wraz z innymi kobietami (np. Joanną, Zuzanną) służyła Mu swoimi majątkościami. *I stało się potem, że chodził po miastach i wioskach, zwiastując dobrą nowinę o Królestwie Bożym, a dwunastu z nim i kilka kobiet, które On uleczył od złych duchów i od chorób, Maria zwana Magdalенą, z której wyszło siedem demonów (Łk 8,1-2).*

Maria Magdalena była też przy śmierci Jezusa. Stała pod krzyżem: *A stały pod krzyżem Jezusa matka jego i siostra matki jego, Maria, żona Kleofasa, i Maria Magdalena (J 19,25).* Gdy Józef z Arymatei składał ciało Jezusa do grobu, ona również była przy tym, siedziała naprzeciw grobu. *A on (Józef z Arymatei) kupił prześcieradło, zdjął go, owinął w prześcieradło i złożył w grobie wykutym w skale, i przytoczył kamień przed wejście do grobu. Ale Maria Magdalena i Maria, matka Jezusa, przyglądały się, gdzie go złożono (Mk 15,46-47).*

Nie zabrakło też Marii Magdaleny przy zmartwychwstaniu Pana! Gdy po sabacie przyszła do grobu wraz z kobietami, z którymi usługiwały Jezusowi, gdy chodził po Galilei – przyniosły wonności i chciały Go namaścić. Jednak zastały odwalony kamień, a ciała Jezusa nie było wewnątrz. Maria Magdalena stała przed grobem i płakała. Zajrzała do grobowca i zobaczyła tam aniołów. Później odwróciła się i zobaczyła Jezusa, którego jednak w pierwszym momencie nie poznała. A On jej polecił zanieść dobrą nowinę apostołom.

Ale Maria stała zewnątrz grobu i płakała. A płacząc, nachyliła się do grobu i ujrzała dwóch aniołów w bieli siedzących, jednego u głowy, a drugiego u nóg, gdzie leżało ciało Jezusa. A ci rzekli do niej: Niewiasto! Czemu płaczesz? Rzecze im: Wzięli Pana mego, a nie wiem, gdzie go położyli. A gdy to powiedziała, obróciła się za siebie i ujrzała Jezusa stojącego, a nie wiedziała, że to Jezus. Rzekł jej Jezus: Niewiasto! Czemu płaczesz? Kogo szukasz? Ona, mniemając, że to jest ogrodnik, rzekła mu: Panie! Jeśli ty go wzięłeś, powiedz mi, gdzie go położyłeś, a ja go wezmę. Rzekł jej Jezus: Mario! Ona obróciwszy się, rzekła mu po hebrajsku: Rabbuni! Co znaczy: Nauczycielu! Rzekł jej Jezus: Nie dotykaj mnie, bo jeszcze nie wstąpiłem do Ojca; ale idź do braci moich i powiedz im: Wstępuję do Ojca mego i Ojca waszego, do Boga mego i Boga waszego. I przyszła Maria Magdalena, oznajmiając uczniom, że widziała Pana i że jej to powiedział (J 20,11-18).

Marię Magdalенę odbieram jako kobietę, która wiele otrzymała od Pana, a ona z wdzięczności służyła Mu tym, co miała. Chodziła z Nim wraz z innymi kobietami. Słuchała Jego nauk. Była obecna we wszystkich kluczowych momentach Jego życia (nauczanie, śmierć na krzyżu, pogrzeb, zmartwychwstanie). Otrzymała też od Pana polecenie zanieśienia dobrej nowiny uczniom.

Myślę, że jej życie to droga chrześcijanina: Bóg powołuje i wyrzuca nas z wszelkich zniewoleń. A później my kochamy Pana, bo widzimy, jak wiele dla nas zrobił. Jesteśmy z Nim zawsze i wiernie. A On daje nam zadania, które mamy wykonać dla Królestwa Niebieskiego. Głosimy dobrą nowinę!

Ile razy przypominam sobie historię Marii Magdaleny, zawsze zadaję sobie pytanie, czy idę za Panem wiernie. Czy Go kocham? Czy idę za Jego poleceniami? Czy pracuję dla Niego? Czy głoszę dobrą nowinę o Nim?

Mój świat się zawalił



Mój kochany mąż i ja byliśmy osobami wierzącymi i pobraliśmy się w bardzo młodym wieku, bo zaraz po ukończeniu szkoły średniej. Ciężko nam było znaleźć pary, na których moglibyśmy się wzorować, bo wszyscy nasi przyjaciele byli jeszcze singlami. Po ukończeniu college'u ciągle szukaliśmy usprawiedliwienia na to, że nie układa nam się najlepiej. Tłumaczyliśmy sobie nawzajem, że jak znajdziemy odpowiedni kościół, dobrą pracę, nowy dom to wszystko się ułoży.

**Tak naprawdę
stanowiliśmy parę
młodych ludzi, którzy
bawili się w dom.
Zdawaliśmy sobie sprawę
z tego, że sprawy nie
układają się dobrze,
ale nie mieliśmy odwagi,
by przyznać się do tego
przed innymi
i szukać pomocy.**

Nadarzyła się okazja, byśmy oboje mogli wspinać się po drabinie kariery zawodowej, co spowodowało, że podjęliśmy niewłaściwe decyzje, a to z kolei bardzo nas od siebie oddzieliło. Zgorzknienie, złość, poczucie zawodu i pustka wypełniła nasze życie i przestaliśmy zupełnie ze sobą rozmawiać. Szukałam powodu do kłótni, ale go nie było. Myślałam, że przed rozводом zawsze następuje próba ratowania małżeństwa przez udanie się na odpowiednią terapię, ale u nas było inaczej. Po prostu, pewnego dnia weszłam do domu i zobaczyłam mojego męża ze spakowanymi walizkami, i wtedy mój cały świat nagle się zawalił.

Dzięki Bogu, znaleźli się wierzący ludzie, którzy poświęcili swój czas na modlitwę o naszą sytuację. Postanowiłam ponownie zawierzyć moje życie Bogu. Wiedziałam, że muszę Mu zaufać zupełnie, nawet jeśli mojego małżeństwa nie uda się już uzdrowić (taka myśl mnie przerażała). Zdawałam sobie sprawę z tego, że będzie to najtrudniejsza droga, jaką do tej pory przeszłam w moim życiu z Bogiem.

Na początku wzdygałam się na samą myśl o tym, że miałabym unieść się i poprosić męża o powrót do domu. Jednak po wielu dniach trwania w Słowie Bożym i modlitwie, zrozumiałam, że nawet jeśli mój mąż nie zdecydował się mną ponownie zaopiekować, to na pewno zrobi to Jezus. Uwielbiałam w tym okresie czytać psalmy, wstawiając tam swoje imię i myśląc o swojej sytuacji.

Napisanie pierwszych listów do męża było dla mnie trudne i upokarzające. Nie miałam nawet pewności, że kiedykolwiek je przeczyta. Z drugiej jednak strony, było to wspaniałe, że musiałam wtedy zupełnie zaufać Bogu. Pisząc kolejne listy, zaczęłam wspominać w nich to, co najbardziej kochałam u mojego męża: jego uśmiech, ogromne poczucie humoru i miłość do rodziny.

Jest też pewne wspomnienie, którego nigdy nie zapomnę. Kiedyś, jadąc razem samochodem, zaczęliśmy nucić pieśń: „Jezus, Jezus, Jezus, ile treści w Imieniu tym. Zbawca, Mistrz mój, Jezus, jak woń kwiatów...”. Popatrzyłam wtedy na niego, a on, płacząc, powiedział: „Dziękuję, że zaczęłaś walczyć o nasze małżeństwo”.

Dzisiaj jesteśmy razem, a mój mąż jest kochającym, pracującym ciężko na utrzymanie rodziny mężczyzną, który wielbi Boga swoim pięknym głosem. Ostatnio świętowaliśmy swoją 10. rocznicę ślubu (a wydawało się, że nie wytrwamy razem do 3!). Jestem byłą studentką farmacji, która z radością podjęła karierę mamy trójki dzieci (spodziewamy się czwartego dziecka na początku 2012 roku). Ludzie w naszym kościele często prawią komplementy na temat naszej rodziny i naszej dobrej relacji małżeńskiej. Nadal dbam o relacje z innymi małżeństwami, które mogą być dla nas dobrym wzorem i szukam Pana, prosząc, by wskazywał mi, jak mogę lepiej zachęcać i wspierać swojego męża.

**Nie chcę, by nasze życie
tylko na zewnątrz
wyglądało dobrze,
ale chcę, by nasze dzieci
pragnęły życia z
Jezusem, widząc,
jak ich rodzice
kochają Boga
i siebie nawzajem,
czego rezultatem jest
szczęśliwe małżeństwo.**

W tym uwidoczniła się miłość Boga do nas, że Bóg posłał na świat swojego jedynego Syna, abyśmy przez Niego mogli zyskać życie.
(1 J 4,10, Nowe Przymierze)

Boża miłość

Kilka lat temu byłam na nabożeństwie, gdzie dzielono się świadectwami. Dotarło do mnie wtedy, że gdyby mnie poproszono na środek, nie byłabym w stanie nic powiedzieć... Zrobiło mi się bardzo przykro, bo przecież byłam wierząca od dziecka, chodziłam na nabożeństwa razem z rodzicami, a wydawało mi się, że Bóg jest dla mnie tak daleki, że nie działa w moim życiu. Wiele razy mówiłam Mu, że chciałabym coś z Nim przeżyć. Coś takiego, co mnie utwierdzi w tym, że On istnieje, że można z Nim rozmawiać, że On naprawdę kocha każdego człowieka... Wydawało mi się, że wszystko, cokolwiek dzieje się w moim życiu, nie ma większego związku z Bogiem.

Będąc na tym nabożeństwie, pomyślałam, że spotkało mnie tyle różnych przykrości w życiu (najpierw nie mogłam mieć dzieci, później cierpiałam na depresję, a potem straciłam młodszą siostrę), że jakoś w tym wszystkim nie widzę Boga ani Jego miłości. Przechodziłam wtedy przez trudny okres zwątpień, jakiegoś dziwnego buntu, a jednocześnie poszukiwań. Nie potrafiłam żyć tak, by całkowicie odwrócić się od Boga. Chciałam chodzić na nabożeństwa, chciałam kochać Boga, chciałam mieć społeczność z wierzącymi, ale nie potrafiłam. Czytałam Biblię, ale jakoś nie przyjmowałam jej słów jako skierowanych do mnie osobiście.

Wtedy też tak naprawdę zaczęłam zadawać Bogu pytania i wołałam do Niego z głębi duszy: „Boże, czy Ty w ogóle jesteś? Jak mam poznać, że istniejesz? Podobno jesteś Miłością? Nie widzę i nie odczuwam Twojej miłości. Tyle przykrości mnie spotkało. Czy tego naprawdę chciałeś, Boże? Czy chodziło Ci o to, żeby mnie poniżyć, zetrzeć? Czy naprawdę nie można inaczej do mnie dotrzeć, tylko tak mnie ciężko doświadczać? Czy Ty, Panie, na pewno wiesz, co robisz?”

Prosiłam Boga, by pokazał mi, na czym polega Jego miłość, bo ja jej nie czuję, nie rozumiem, nie widzę. Owszem, rodzice mnie kochają, ja kocham męża, swoje dzieci - taką miłość rozumiem. Ale jak to możliwe, że Bóg mnie kocha, skoro dopuszcza, że tyle przykrości mnie spotyka? Takiej Bożej miłości nie rozumiem.

Niedługo po okresie zadawania Bogu pytań natknęłam się na film „Pasja”, który mną wstrząsnął. Szczególnie mocno dotknęła mnie scena biczowania Pana Jezusa. I wtedy dotarło do mnie, na czym polega Boża miłość. Bóg zgodził się, by Jego jedyny, umiłowany Syn był tak znieważony, męczony, zdradzony, opuszczony i w końcu, aby zmarł za mnie. Skoro Bóg oddał swojego Syna na haniebną śmierć za mnie, żebym mogła żyć, to dlaczego ja tak się wzbraniam przed tym *chwilowym i lekkim uciskiem*, czemu ja tak wypominam Bogu wszystko to, co przykrego mnie spotyka? Przecież apostołowie cieszyli się, że mogą cierpieć dla Pana, a ja się przed tym wzbraniam... W taki sposób Duch Święty skierował moją uwagę na krzyż i na Chrystusa. Tak odczułam Bożą miłość. I tak Chrystus został wymalowany przed moimi oczyma.

Myślę, że był to moment zwrotny w moim życiu. Przez kilka dni na okrągło słuchałam pieśni „Drogą via Dolorosa” i cały czas płakałam. Tak mocno dotykały mnie słowa, że Pan Jezus dobrowolnie zmarł, dobrowolnie zgodził się na cierpienie i haniebną śmierć na krzyżu, bo nas umiłował. Ja nie byłabym w stanie umrzeć za nikogo, ani też poświęcić na śmierć i cierpienie kogoś, kogo kocham... A Bóg właśnie to uczynił! Swojego kochanego, jedynego Syna zgodził się oddać na cierpienie i śmierć tylko po to, by każdy człowiek mógł żyć. Jakże niepojęta jest Boża miłość do nas! Aż tak mocno Bóg nas kocha!

**Dziś cieszę się, że mogę dzielić się tym,
co Bóg czyni w moim życiu, a On mi pomaga każdego dnia.
Przypomniat mi też to wszystko, co dla mnie uczynił:
zachował mnie od świata, dzięki temu, że mam wierzących
rodziców, którzy się o mnie zawsze modlili.
Wyrwał mnie z mocy ciemności, z depresji i lęku,
i przyprowadził do swojej światłości.**

Przez wiele lat nie mieliśmy dzieci – dziś mamy dwójkę zdrowych i kochanych. Bóg też uczynił, że zagoił się ból po stracie siostry. Zabrał z mojego serca zgorzknienie, rozżalenie, niechęć do ludzi. Dzisiaj cieszę się nowym życiem w Chrystusie! Chwała Panu!

Bóg sprawił, że spełniło się wiele moich marzeń. Niedawno zamieszkaliśmy w domu w górach i mogę chodzić do zboru, w którym czuję się potrzebna. Mam wiele siostr w Chrystusie, z którymi mam społeczność. Moje dzieci chętnie chodzą do zboru, śpiewają dla Pana. Cieszę się, że mam Boga, który jest Bogiem dobrym, wiernym i pełnym miłości! On odpowiada na nasze pytania. Jest zainteresowany naszym codziennym życiem.

I On każdego kocha i chce, aby każdy pragnął Go poznać. A On chętnie daje się poznać, bo chce być przyjacielem człowieka i chce nas wspierać każdego dnia.

Starajmy się więc poznać, usilnie poznać Pana; że go znajdziemy, pewne jest jak zorza poranna, i przyjdzie do nas jak deszcz...
(Oz 6,3, Biblia Warszawska)

Święta Żydowskie wskazują



na Pana Jezusa

Święta Izraela zostały nakazane przez samego Boga, co jest zapisane w 23 rozdz. 3 Mż, a także w 12 rozdz. 2 Mż, który to rozdział dotyczy ustanowienia Święta Paschy. Bóg wyznaczył terminy obchodzenia poszczególnych świąt. Święta upamiętniają ważne wydarzenia w historii narodu izraelskiego i nadają rytm życiu ludzi.

Święta te niosą przesłanie o Bożej świętości i sprawiedliwości, upewniając naród izraelski, że jest Bóg w Izraelu, że troszczy się o nich i czuwa nad nimi, nad przeznaczeniem tego narodu. W tych świętach odzwierciedlony jest Boży cykl stworzenia i zbawienia. W ten sposób Żydzi czczą nie tylko Stwórcę wszechrzeczy, ale także Boga – Pana historii, władcę i sędziego ludzi.

Święto Paschy (Pesach) rozpoczyna cykl świąt, a zarazem Boży roczny kalendarz. 2 Mż 12,2 mówi, że miesiąc obchodzenia Paschy będzie dla Żydów pierwszym miesiącem roku.

U nas to święto przypada na ogół w kwietniu. Jest to początek wiosny, kiedy wszystko budzi się do życia po zimie, będącej obrazem śmierci. Samo słowo *pesach* z hebrajskiego znaczy „omijać, przechodzić obok”. Odnosi się to do tego, co uczynił Bóg w Egipcie, pragnąc wyzwolić naród izraelski z niewoli. Bóg zsyłał na Egipcjan plagi, chcąc nakłonić faraona do wypuszczenia Izraelitów. Plag tych musiał zesłać aż 10, gdyż serce faraona było zatwardziałe i chociaż prosił Mojżesza, aby modlił się do Boga o ustanie plag, obiecując zarazem, że gdy ona ustanie, naród izraelski zostanie wypuszczony – gdy tylko ustała, faraon wycofywał się ze swej obietnicy.

Ostatnia, dziesiąta plaga, miała spowodować śmierć wszystkich pierworodnych. Jednak Izraelici mogli być uratowani przez krew niewinnego baranka bez skazy. Baranek miał zostać zabity, a jego krwią pomazane odrzwia hebrajskich domów. Anioł śmierci omijał

domy, których odrzwia były pomazane krwią. Zabity baranek musiał być spożyty w całości, a jeśli coś z niego zostało, miało zostać spalone. Domownicy mieli być gotowi do drogi, aby móc wyruszyć natychmiast. W ten sposób Bóg ochronił tych, którzy Mu zaufali i uwierzyli, że ta krew ich ochroni. Jeżeli ktoś był nieposłuszny temu nakazowi i nie posmarował krwią odrzwia domu, tam pierworodny zginął.

Pascha to nie jakiś po prostu tradycyjny obrzęd religijny. Ona mówi o potrzebie wiary, zaufania do Boga, o wykupieniu i ratunku w mocy przelanej krwi. Równocześnie jest ona proroczą zapowiedzią uwolnienia ludzi z niewoli grzechu dzięki przelanej krwi Jezusa Chrystusa, który dla nas, ludzi, stał się niewinnym barankiem bez skazy, gdyż był bez grzechu.

Pan Jezus dobrowolnie zgodził się zapłacić swoją krwią za nasze grzechy. Jego krew będzie nas chroniła przed mocami diabelskimi, przed grzechem, ale każdy, kto chce z tego skorzystać, musi osobiście przyjąć to wiarą, poprosić o oczyszczenie z grzechu i moc do nowego, świętego życia. Podobnie jak każdy Izraelita musiał osobiście pomazać odrzwia domu krwią baranka.

W takim domu mógł się czuć bezpiecznie nawet ktoś nie będący Żydem. Analogicznie Słowo Boże mówi, że niewierzący małżonek

jest uświęcony przez małżonka wierzącego.

To nie przypadek, że Pan Jezus umarł na krzyżu właśnie w czasie Paschy. Jego ostatni posiłek z uczniami tzw. ostatnia wieczerza, to była właśnie wieczerza paschalna.

Podczas wieczerzy paschalnej na stole powinny się znajdować:

- szklanka ze słoną wodą; symbolizowała ona wody Morza Czerwonego oraz łzy wylewane przez hebrajskich przodków w niewoli egipskiej,
- 3 kawałki niekwaszonego chleba, jako że był przygotowany w pośpiechu (gdy Izraelici wychodzili z Egiptu),
- kość tylnej nogi baraniej – przypominała o baranku, którego krwią pomazywano odrzwia domów, aby ochronić pierworodnych przed śmiercią,
- 4 kielichy wina – symbolizowały krew baranka,
- gorzkie zioła – przypominały o niedoli i smutku Izraelitów podczas niewoli egipskiej,
- *charoset* – potrawa stanowiąca mieszankę marchwi i orzechów, co miało przypominać glinę, z której Izraelici w niewoli musieli wyrabiać cegły.

Pan Jezus powiedział do uczniów: *gorąco pragnęłam spożyć tę Paschę z wami*, a było to na kilka godzin przed Jego śmiercią. On prowadził tę wieczerzę, podobnie jak ojciec rodziny prowadzi wieczerzę paschalną w każdym żydowskim domu. Chleb, który rozdzielił wśród uczniów, to był właśnie ten niekwaszony chleb, tzw. maca. Pan Jezus wziął środkowy z trzech kawałków, mówiąc: *to jest ciało moje za was wydane*. Podobnie podał uczniom wino, mówiąc: *ten kielich to jest krew moja, krew nowego przymierza, która się za wielu wylewa na odpuszczenie grzechów*. Prawdopodobnie, gdy mieli spożywać *charoset*, Jezus przepasał się i umył uczniom nogi, na znak uniżenia się, jak sługa.

Tak, to była jedyna w swoim rodzaju Pascha, w której brał udział prawdziwy Baranek Boży.

Podobnie, jak kiedyś krew baranka na odrzwiach domów chroniła przed śmiercią, tak teraz krew przelana na krzyżu chroni przed śmiercią wieczną tych, którzy zaufali Bogu i wiarą przyjęli ofiarę Pana Jezusa za swoje grzechy na krzyżu. Dostrzegamy jeszcze inne analogie między Paschą a ukrzyżowaniem Pana Jezusa:

- baranek paschalny musiał być bez skazy i Jezus był bez skazy, nikt nie mógł Mu dowieść grzechu (1 P 2,22),
- baranek paschalny miał być spożyty w całości, również Pana Jezusa musimy przyjąć w całości: całą Jego naukę, wszystko, o czym mówił, naśladować całe Jego postępowanie; nie możemy przyjmować tylko niektóre Jego nauki, a inne odrzucać,
- baranka paschalnego spożywano z chlebem bez kwasu – kwas w Biblii symbolizuje grzech, kiedy zapraszamy Pana Jezusa do swojego życia, musimy poprosić Go o oczyszczenie od wszelkiego grzechu i odwrócić się od dotychczasowego grzesznego postępowania,
- spożywając baranka paschalnego, ludzie byli gotowi do drogi, zapraszając Pana Jezusa do swojego życia, musimy być gotowi do pójścia za Nim jego drogą,

Pascha i Wielkanoc zbiegają się w tym samym czasie i jest to czas radości, i czas wyzwolenia. Żydzi świętują wyzwolenie z niewoli egipskiej,

a ci, którzy wiarą przyjęli oczyszczenie z grzechów krwią Pana Jezusa, świętują wyzwolenie z niewoli grzechu.

Tak więc za każdym razem, kiedy Żyd uczestniczy w wieczerzy paschalnej, staje się on świadkiem Mesjasza – Jezusa, który umarł i przelał krew za niego.

Cała pascha trwa 7 dni. W ramach Paschy obchodzone jest Święto Pierwocin.

Ma ono miejsce w pierwszy dzień omeru, który z kolei następuje w pierwszy dzień po szabacie w czasie trwania Paschy. Od pierwszego dnia po szabacie przypadającym w czasie trwania Paschy należy odliczyć 49 dni. Jest to tak zwane liczenie omeru.

Omer odnosi się do snopu jęczmienia. Pierwszego dnia omeru przynoszono w darze do świątyni pierwszy snop jęczmienia, *aby zyskać upodobanie Pana* (3 Mż 23,11). Kapłan dokonywał nim obrzędu potrząsania przed Bogiem, mówiąc: „Panie, Boże Izraela, dziękujemy Ci za początek żniw w tym roku i przynosimy Ci pierwsze zbiory z naszych pól”.

Pierwszy dzień omeru zbiega się w czasie z dniem zmartwychwstania Chrystusa. Tak więc pierwszy snop symbolizuje zmartwychwstałego Chrystusa, jako pierwotnego z umarłych. Pierwszy plon uświęca żniwo poprzez przyniesienie go do świątyni, podobnie zmartwychwstały Jezus uświęca wszystkich, którzy w Niego wierzą.

Gdy Żydzi obchodzą Święto Pierwocin, my obchodzimy Święto Zmartwychwstania Pana Jezusa. Zmartwychwstały Jezus staje się symbolem początku Bożego żniwa całej ludzkości.

Po odliczeniu 49 dni omeru następuje dzień 50. Wtedy Żydzi obchodzą Święto Tygodni, po hebrajsku *Szawuot*. Wtedy do świąt

tyni przynoszony był snop pszenicy oraz 2 bochenki chleba ze świeżej mąki, na zakwasie. To święto dziękczynne za żniwa oraz wdzięczności za codzienny chleb. Obydwie te rzeczy zależą od Boga i za nie Żydzi wyrażali wdzięczność wobec Niego.

**W tym 50. dniu
uczniowie i ci, którym
Jezus był bliski, zgromadzili
się w Jerozolimie na jednym
miejscu, aby zgodnie
z zapowiedzią Jezusa
oczekiwać na napelnienie
„mocą z wysokości”.
Było tam zgromadzonych 120
osób, m. in. matka Jezusa.
To było właśnie w Święto
Szawuot. I tam został na
nich zesłany Duch Święty.**

Z okazji tego święta gromadziło się w Jerozolimie mnóstwo ludzi – Żydów i tych, którzy uwierzyli w Boga i przyjęli religię żydowską. I gdy na oczekujących na wypełnienie obietnicy Jezusa zstąpił Duch Święty, zaczęli oni mówić różnymi językami i opowiadać o wielkich dziełach Bożych. Były to języki, które rozumieli wszyscy zgromadzeni z różnych stron świata w Jerozolimie. Potem Piotr wygłosił kazanie, które też było zrozumiałe dla wszystkich.

W efekcie słów Piotra nawróciło się około 3 tys. ludzi (Dz 2,41-42). To były narodziny Kościoła. W jego skład wchodzi każdy, kto zaufał Panu Jezusowi i uwierzył, że Jego przełana na krzyżu krew oczyszcza człowieka z grzechu. Każdy może znaleźć się w ten sposób w Kościele: Żyd i nie-Żyd. W ten sposób te

2 bochenki chleba ofiarowywane w Święto Szawuot stały się symbolem dwóch narodów, które spotykały się w Kościele: Żydów i pogan, których oczyściła krew Jezusa Chrystusa.

W Święto Szawuot wspomniana była też Rut – Moabitka, która poprzez wykupienie jej przez Booza weszła do narodu izraelskiego. Tak samo Jezus wykupił swoją krwią pogan i mogą wejść do kościoła – Oblubienicy Chrystusa. Rut poprzez małżeństwo z Boozem weszła w skład rodu, w którym przyszedł na świat Pan Jezus, była jego pramatką.

**W sobie
Pan Jezus połączył
Żydów i pogan
w jeden lud Boży.**

Święto Szawuot po rozproszeniu narodu izraelskiego było bardziej znane jako Pora Nadania Prawa. Obecnie prawo Boże jest zapisywane w sercach ludzi dzięki wylaniu Ducha Świętego.

W dniu Pięćdziesiątnicy Duch Święty uczynił zrozumiałym kazanie Piotra dla wszystkich ludzi z różnych krajów, którzy byli zgromadzeni na Święto Szawuot w Jerozolimie. Obecnie misjonarze napełnieni Duchem Świętym udają się do dalekich krajów, by głosić Dobrą Nowinę w ponad tysiącu języków i dialektów, a Biblia tłumaczona jest ciągle na nowe języki świata, aby każdy mógł usłyszeć o Jezusie i zbawieniu. (Cdn.)

Opracowano na podstawie książek:

1. Victor Buksbaun, Ewangelia zawarta w świętach Izraela
2. Kazimierz Barczuk, Przeszłość i przyszłość w świętach biblijnych

Wysłuchane modlitwy

Temu zaś, który według mocy działającej w nas potrafi daleko więcej uczynić ponad to wszystko, o co prosimy albo o czym myślimy. Temu niech będzie chwała w Kościele i w Chrystusie Jezusie po wszystkie pokolenia na wieki wieków. Amen.



Tym Słowem i świadectwem pragnę zachęcić siebie i Was, bracia i siostry, do wytrwałego czekania na odpowiedź na modlitwy. Czasami tak jest, że im dłużej czekamy, tym większe cuda możemy z łaski Bożej oglądać.

Kilka miesięcy temu wróciłam do Warszawy, rodzinnego miasta, o które wraz z mężem systematycznie modliliśmy się, służąc Panu w Zamościu w Kościele Ewangelicznym. W naszych modlitwach przynosiliśmy również Izrael i Żydów żyjących w rozproszaniu, zachęceni przez Pana i Jego słowo z 4 Mż 6,23-27, gdzie Bóg motywuje, byśmy błogosławili Jego naród, który umiłował miłością wieczną (Jr 33,3; Iz 62,1). *Ze względu na Syjon nie będę milczał i ze względu na Jerozolimę nie spocznę, dopóki nie wszędzie jak jasność jego sprawiedliwość i nie zapłonie jego zbawienie jak pochodnia i dalej: Wy, którzy wyznajecie Pana, nie milczcie! I nie dajcie Mu spokoju, dopóki nie odbuduje Jerozolimę, i dopóki nie uczyni go sławnym na ziemi!*

W naszych modlitwach prosiliśmy, tak jak apostoł Paweł w Rz 10,1 oraz Dawid w Ps 122. Bóg dawał nam różne sposobności do służenia Mu w Zamościu, gdzie przyjeżdżały grupy, by odwiedzić to piękne miejsce, w którym żyło niegdyś wielu Żydów, zaś obecnie odrestaurowywana jest duża synagoga, w której w czasie lata odbywają się koncerty. Mogliśmy być m. in. na koncercie zorganizowanym przez Prezydenta Miasta Zamość, p. Zamojskiego, na którym były śpiewane Psalmi Dawida, opiewano Imię

Boże oraz odsłonięto pomnik psalmisty z wyrytym fragmentem Słowa Bożego. Cieszyliśmy się tymi wydarzeniami, bo widzieliśmy dobre nastawienie tamtejszych władz i mieszkańców do potomków Jakuba.

**Bardzo chciałam pojechać na konferencję
dotyczącą Izraela do Białegostoku,
ale nie mogłam, więc modliłam się.
Bóg słyszał i wiedział o moich pragnieniach,
i odpowiedział, tylko że w innym czasie.**

W marcu przyjechałam do Warszawy, a w czerwcu mogłam być na wykładach brata Aviego na ul. Zagórnej. Potem we wrześniu, kiedy przyjechała międzynarodowa grupa „Żydzi dla Jezusa” zdarzyło się wiele cudownych rzeczy, za które dziękuję Bogu i wierzę, że mają one wymiar dalekosiężny. To był kolejny czas siania Bożego Słowa i to przez Żydów tu, w Warszawie, w naszym mieście, o które tak wiele osób się modli. Bóg krok po kroku realizuje swój plan...

To było wspaniałe i niesamowite, kiedy mogłam jednego dnia pójść na ul. Próżną, gdzie odbywał się Festiwal kultury żydowskiej i spotkać sporą grupę młodzieży żydowskiej. Dobrze, że wcześniej przygotowałam sobie trochę pocztówek, na których wypisałam Słowo Boże z życzeniami Bożego pokoju dla Izraela i mogłam im je podarować. Potem mogliśmy pomodlić się razem na jednej z ulic zanim zaczęli rozdawać traktaty oraz pomagaliśmy im w nawiązywaniu kontaktów, rozmawiając z chętnymi osobami. Uwielbialiśmy Pana za cuda, które widzieliśmy. Chciałam skakać z radości, widząc, co czyni w moim mieście Wszechmocny i Najmądrzejszy Ojciec!

Będąc pod wrażeniem tych wydarzeń sprawdzałam w internecie, czy jest jakiś odzew na akcję rozdawania traktatów i natrafiłam na pewien blog. Jakaś kobieta pisała, że otrzymała traktat w zeszłym roku i nie bardzo wie, o co chodzi. Mogłam do niej napisać i złożyć świadectwo i wiem, że to również nie był przypadek. Zobaczyłam, że są wielkie potrzeby i Bóg przygotowuje wiele serc do przyjęcia Ewangelii. Módlmy się nadal, gorliwie ufając Panu, bo On powiedział w Iz 55,10: *Gdyż jak deszcz i śnieg spada z nieba i już tam nie wraca, a raczej zrasza ziemię i czyni ją urodzajną, tak iż porasta roślinnością i daje siewcy ziarno, a jedzącym chleb, tak jest z moim słowem, które wychodzi z moich ust; Nie wraca do mnie puste, lecz wykonuje moją wolę i spełnia pomyślnie to, z czym je wysłałem.*

**To wspaniałe zapewnienie od Pana,
więc już możemy dziękować za to, co On uczyni
w sercach ludu żydowskiego i naszych rodaków.**

Inna obietnica z Prz 10,28, którą bardzo lubię, mówi, że *oczekiwanie sprawiedliwych przynosi radość...* Oczekujmy więc, gdyż Pan jest naszą Sprawiedliwością i On pragnie, by nikt nie zginął, ale by każdy był zbawiony. Mam nadzieję, że będzie to zachętą do błogosławienia Pana, ludzi, w tym również Izraela i czynienia oraz niesienia praktycznej miłości i pocieszenia, okazując to dobrym słowem, czy gestem, kiedy Bóg postawi na naszej drodze kogoś z Narodu Wybranego. Oni coraz częściej odwiedzają nasz kraj i chwala za to Bogu. Shalom!

Ja w ciebie wierzę...

Pragnę dzisiaj oddać chwałę Bogu Najwyższemu poprzez to świadectwo. Jest to jedno z wielu świadectw mojego życia, ale bardzo istotne. Po raz kolejny Bóg pokazał swoją miłość i suwerenność, dlatego nie chcę zostawić go tylko w kręgu najbliższych, znajomych, braci i sióstr...

W bardzo młodym wieku zaczęły się u mnie dolegliwości związane z chorobą układu moczowego, co mogło być skutkiem częstych angin w dzieciństwie. Jakoś z tym żyłam i nie narzekałam. Mogę powiedzieć, że przyzwyczaiałam się do bólu pęcherza czy nerek. Czasami sięgałam po przynoszące ulgę dostępne leki, jednak w niektórych przypadkach musiałam zażyć antybiotyki i być pod opieką lekarza. Przez zakażenie dróg moczowych straciłam również dwoje dzieci (poronienie i przedwczesny poród).

W niespełna rok po moim nawróceniu ponownie zachorowałam. Wcześniej przechodziłam przez ciężkie doświadczenia, które osłabiły zarówno mój stan fizyczny jak i duchowy. Przez około tydzień męczyłam się z wysoką gorączką i bólem, nie mogłam jednak pójść do lekarza, ponieważ byłam w szpitalu z moją córeczką i nie widziałam możliwości, aby ją zostawić samą. Czułam się fatalnie. Moja rodzona siostra, która jest również duchową siostrą, nie wiedząc o moim niedomaganiu, wysyłała mi sms-y z wersetami. Były



to głównie słowa z Księgi Joba. Nie wiedziałam, po co mi to pisze, ale Duch Święty wiedział. Było to przygotowanie na to, co miało nastąpić...

Niestety, pewnego ranka obudziłam się z tak wysoką gorączką, że zemdlałam. Wiedziałam, że nie mogę pozostać dłużej w szpitalu z dzieckiem i resztkami sił udałam się w podróż do domu, zapewniając dziecko, że jak tylko poczuje się lepiej, zaraz przyjadę. Miałam nadzieję, że dwa dni w domu przyniosą mi poprawę zdrowia, musiałam tylko odpocząć... Od domu dzieliła mnie odległość około 70 km. Tramwaj, pociąg... Nie pamiętam tej drogi... Miałam tylko krótkie migawki momentów, które spędziłam w pociągu... Sąsiedzi powiedzieli mi później, że z dworca przyjechałam taksówką, widocznie nie miałam już sił, aby dojść do domu.

Obudziłam się wieczorem złana potem i nadal w wysokiej gorączce. Do tego było mi niedobrze i sama nie wiedziałam, co mnie bolało, albo raczej, co mnie nie bolało. Przespałam noc, zażywając środki przeciwgorączkowe. Rano obudził mnie telefon, że mam odebrać córkę ze szpitala, ponieważ taka decyzja zapadła po obchodzie lekarzy. Ucieszyłam się z jednej strony, jednak ciągle miałam wysoką gorączkę i brakowało mi sił, aby jechać tak daleko i wracać z bagażami. Bałam się. Poprosiłam znajomą, aby zawiozła mnie samochodem do szpitala. Kiedy wróciliśmy, nadal potrzebowałam odpoczynku i dlatego poprosiłam moją siostrę, aby zajęła się Gabrysią u siebie w domu, bo ja potrzebowałam ciszy i wypoczynku. Zgodziła się, chociaż nie spodobał jej się pomysł, abym pozostała z gorączką w domu, bo naprawdę źle wyglądałam. Jednak nalegałam, że muszę być sama.

To było straszne... Gorączka i bóle nie ustępowały, do tego doszły wymioty. Późnym wieczorem zadzwoniłam po pogotowie, bo czułam, że nie poradzę sobie z chorobą. Nie miałam siły się modlić. Kiedy przyjechała po-



moc, dostałam zastrzyk ze środkiem przeciwgorączkowym, a także uspokajającym oraz informację, że jeśli mój stan do rana się nie poprawi, będę musiała udać się do lekarza rodzinnego. Noc była koszmarem. Nie mogłam się doczekać rana, aby udać się do przychodni lekarskiej, która, na szczęście, była bardzo blisko mojego domu. Jednak mimo niewielkiej odległości przebycie tej drogi zajęło mi bardzo dużo czasu. Byłam tak słaba, że co kawałek musiałam się zatrzymywać.

Kiedy w końcu dotarłam do rejestracji, zdążyłam jedynie zapytać, czy pani doktor mnie przyjmie i zemdlałam. Pielęgniarki wprowadziły mnie do gabinetu. Od razu skierowano mnie do szpitala na oddział wewnętrzny, gdzie otrzymałam wspaniałą opiekę, nie tylko ze strony innych pacjentów. Byłam odwodniona i bardzo słaba. Lekarze nie umieli trafić z antybiotykiem. Cały personel szpitala wydawał się zajmować tylko mną. Ordynator, nie mogąc spać spokojnie w domu, przyszedł kilka godzin przed rozpoczęciem swojego dyżuru i siedział przy moim łóżku. Powiedział mi, że nie wie, co mi dolega, podejrzewał sepsę. Był załamany, bo nie wiedział, jak mi pomóc. Konsultacje na wszystkich oddziałach, szereg badań... W końcu trafiłam na chirurgię.

Tam mi powiedziano, że jestem przygotowywana do zabiegu wycięcia wyrostka ro-

baczkowego. Nie zgodziłam się, ponieważ byłam pewna, że to nie to! Przecież wcale nie z takimi objawami zgłosiłam się do lekarza, a w karcie na oddziale chirurgii przeczytałam: chora, lat 30, zgłosiła się na oddział z bólem w prawym podbrzuszu. Początkowo myślałam, że pomyłono karty. Cóż, miałam prawo się nie zgodzić... Kolejny dzień w szpitalu, kolejny dzień gorączki i kolejny dzień z nowym antybiotykiem, który nie przyniósł poprawy, i ciągle wymioty...

Prosiłam bliskich o modlitwę, bo sama byłam zbyt słaba, by wołać do Boga, mogłam jedynie wzdychać do Niego.

W niedzielę w odwiedziny przyjechała znowu moja siostrzyczka, ale tym razem nie sama, lecz z pastorem i jego żoną. Pomodlili się o mnie, a na końcu tej modlitwy pastor zwrócił się do mnie ze słowami: „Olu, Pan Bóg w ciebie wierzy”. Co? Nagle umysł się wyostrzył, choć byłam w lekkim szoku, do tej pory to ja wierzyłam w Boga, ale teraz zrozumiałam, że i On wierzy we mnie. Wierzy, że skorzystam z Jego daru łaski, wierzy, że dobrze wykorzystam swoją wolną wolę, wierzy, że opowiem się po dobrej stronie, wierzy, że w każdej kwestii będę Mu ufać, że dokonam biegu, że zachowam wiarę! On we mnie wierzy! To niesamowite! Te słowa wykonały we mnie pracę!

Te słowa sprawiły, że przyjąłam uzdrowienie! Poczułam, że choroba była bardziej duchowa niż cielesna.

Na drugi dzień gorączka zeszła (po 10 dniach bezskutecznej walki) i zostałam od razu wypisana do domu. Najpierw poczułam złość, jak można tak postąpić, aby w godzinę po opadnięciu temperatury wypisywać chorego ze szpitala, ale przyjąłam to z radością, bo lepsze przecież będzie przebywanie w domu. Ze szpitala pojechałam do mojej siostry i tam pozostałam przez jakiś czas. Siły odzyskałam w sposób nadnaturalny, od razu, tak jakbym w ogóle nie była chora. Wiedziałam, że zawdzięczam Bogu ten stan. Alleluja! Kiedy po tygodniu wróciłam do szpitala, na oddział, na który zostałam przyjęta, aby zabrać wypis i zwolnienie lekarskie, lekarz prowadzący ze zdumienia wytrzeszczył oczy i powiedział tylko: „To pani żyje?!” Powiedziałam: „Tak, dzięki Panu Bogu żyję”. Zgodził się ze mną, bo tylko Bóg mógł mnie wyprowadzić z tak ciężkiego stanu.

Odebrałam wypis, na którym między innymi była informacja o ropniu na prawej nerce oraz o jej powiększeniu. Po czterech latach



znowu trafiłam do lekarza z powodu nerek. Podczas badania USG lekarz zadał mi dziwne pytanie, mianowicie zapytał, czy wiem, gdzie znajduje się moja prawa nerka. Zdziwiłam się, bo gdzie niby miała się znajdować. Zostałam poinformowana, że, niestety, na skutek ropnia, jaki miałam i prawdopodobnie szeregu chorób, nerka ta stała się marska i jest o około 10 cm mniejsza, a także, że znajduje się z przodu brzucha pod pępkiem, wyżej niż powinna. Dziękowałam Bogu wówczas, że mam jeszcze jedną zdrową nerkę. Wiedziałam, że teraz muszę o nią dbać. Dostałam stałe skierowanie do nefrologa, u którego byłam zaledwie dwa razy, ponieważ stwierdziłam, że nic mi nie dolega, a moje zdrowie jest w rękach Boga, więc nie muszę się niczym martwić.

I tak było. Codziennie oddawałam Bogu chwałę, wiedząc, co dla mnie uczynił przez wszystkie lata mojego życia. Byłam zachwycona Jego stworzeniem, każdego dnia moje serce przepełniała wdzięczność. Radość, pokój, miłość były moim udziałem. Wiedziałam, że nic i nikt nas nie rozdzieli. Czułam niemal fizycznie obecność mojego Ojca, kiedy przechadzałam się polami i czułam, jakby mój Tataś oprowadzał mnie po swoim królestwie i mówił, że to wszystko i jeszcze więcej jest moim dziedzictwem. Mimo wielu przeciwności, jakie ten świat i przeciwnik gotuje dzieciom Bożym, żyłam szczęściem, że mogę być blisko Boga. Był ze mną w najcudowniejszych momentach, ale był także w złych i trudnych chwilach. Trzymał mnie, kiedy byłam bliska potknięcia. Podnosił, kiedy upadałam. Było różnie, ale Pan był ze mną.

Jednak pewnego dnia moje kroki zaczęły zmierzać w inną stronę. Był to teren niebezpieczny nazywający się „świat”. Mogłam się jeszcze wycofać, kiedy czułam, że stoję nad przepaścią i tylko krok dzieli mnie od tego, abym w nią wpadła. Nie posłuchałam, igrałam... Poszłam dalej. Praca, towarzystwo - wcale nie dobre towarzystwo - zaczęły mnie

pochłaniać. Coraz rzadziej brałam udział w społeczności dzieci Bożych. Zaczęły się kłamstwa, przekleństwa. Boże, tak mi wstyd... W konsekwencji oskarżenia diabelskie, co z kolei prowadziło do dalszego zła. Prawie rok wycięty z życia. Grzech, który zaczął mnie oddzielać od Stwórcy. Chciałam inaczej, ale oskarżyciel nie dawał za wygraną. Stwarzał okoliczności, a ja z nich korzystałam, jednak dobry Bóg poruszał mego ducha, co nie dawało mi spokoju.

Wiedziałam, że tak nie może być, ponieważ igraszkowałam z Bogiem. Zaczęłam Go prosić o pomoc, ale w odpowiedzi dostałam odpowiedź, że muszę podjąć decyzję. Wiedziałam, że muszę ją podjąć jak najszybciej, ponieważ czas jest krótki.

Zaczęłam rozmyślać nad wiecznością. Zdałam sobie sprawę, czym ona jest. Zdałam sobie sprawę, że to, co robię, w jaki sposób żyję, może na zawsze mnie oddzielić od Boga. Tego nie chciałam. Ja Go kochałam, nie umiałam sobie jednak sama poradzić z grzechem...

Okoliczności zaczęły się zmieniać, tym razem to Bóg podsuwał mi dobre propozycje, ale ja z nich nie korzystałam. Cieszyłam się z przyjazdu mojej siostry, miałyśmy okazję porozmawiać, ale nie poruszałam tematu mojego stanu, chociaż wiem, że czuła, że dzieje się coś złego. Podarowała mi książkę pt. „Wieczność” (dziś polecam ją każdemu). Wiedziałam, że jest dla mnie od Boga, ale odłożyłam ją, ponieważ nie miałam czasu na czytanie. To nie było wykręcanie się. Ja na-

prawdę nie miałam czasu. Na nic. Jeszcze nigdy nie byłam tak zajęta. Brakowało mi nawet czasu na sen oraz na to, aby pójść do lekarza z bolącymi znów nerkami. Wydawało mi się, jakby ktoś uciął czas, wyciął jego kawałek z każdej doby.

To było dziwne. Miałam tego serdecznie dość. Dalej prosiłam Boga o pomoc, bo jednego byłam pewna - że chcę z Nim być. Wiedziałam, że to może być bolesne, bo wytapianie następuje przez ogień. Powiedziałam: „Boże, zmień moje życie, ja tego chcę, a sama nie potrafię”. Decyzja już była, ale z wykonaniem gorzej... Słaby człowiek w ciele... Od tygodnia walczyłam znowu z gorączką, jednak sądziłam, że jest wywołana stresem i sytuacjami, jakie przechodziłam w ostatnim czasie. Nie poszłam do lekarza, za to chodziłam dzielnie do pracy. W końcu na jeden dzień gorączka ustała.

Ale jeszcze kilka błędów i „przyjemności” musiało mieć miejsce. Jedną z tych „przyjemności” był wyjazd do kina. Czułam, że zrobiłam źle, nie powinno mnie być w tym towarzystwie. Sumienie było poruszone. Po raz kolejny próbowałam sobie powiedzieć, że to ostatni raz. I wtedy w jednym z tekstów w filmie usłyszałam: „Ja w ciebie wierzę!!!” Powiedział to Zeus do Tezeusza, jednak we mnie te słowa zaczęły brzmieć tak jak wówczas w szpitalu. Czułam jakby Bóg znowu powiedział je do mnie. Nie wiedziałam, co nastąpi później.

Następnego dnia dostałam wysoką gorączkę i ostry ból nerek. Normalnie przy gorączce nie czuję się aż tak źle. Przypomniły mi się słowa z filmu w poprzednim dniu i poczułam, że Bóg oczekuje czegoś ode mnie. Trochę się przeraziłam, ponieważ obawiałam się sytuacji sprzed kilku lat, a ta nie należała do miłych. Środki przeciwgorączkowe nie przynosiły ulgi, tym razem córka siedziała przy mnie i robiła mi zimne okłady. Odwiedziły mnie też siostry z naszej społeczności.

Pomodliły się o mnie. Powiedziałam jednej z nich, że zdałam sobie sprawę, że ta choroba nie jest na śmierć, ale na życie. Wiedziałam, że to duchowe zmagania i powiedziałam Bogu: „Tak! Zrób, Panie, ze mną, co zechcesz. Wiem, że to jest wypalanie!”.

Ja jestem ten, który bada nerki i serca i oddam każdemu z was według uczynków waszych (Obj 2,23).

Uzdrowienia musiały doznać nie tylko moje nerki, ale przede wszystkim moje serce!

Ból nerek był tak silny, że czułam, jakby ta prawa, chora nerka, spuchła. Była tak nabrzmiąta, że czułam jej kształt. Powiedziałam jednej z sióstr, że dziwię się, jak to możliwe, abym ją tak czuła. Po cichu pomyślałam, że może Bóg odnawia moją nerkę, ale nie powiedziałam o tym nikomu.

Po dwóch dniach wysokiej gorączki i zmagania z bólem poszłam w końcu do lekarza. Po otrzymaniu pierwszych wyników dostałam skierowanie na pilne badanie USG. Miałam możliwość oglądać na dużym monitorze, jak wyglądają moje narządy. Kiedy zobaczyłam jedną, potem drugą nerkę, uśmiechnęłam się, ale czekałam, co jeszcze powie lekarz. Oczywiście, stwierdził, że nerki są niemal książkowych wymiarów i dobrze było, gdyby każdy człowiek mógł się cieszyć tak zdrowymi narządami wewnętrznymi jak ja! Alleluja!

Czy to rozumiesz?! Dla mnie było to jasne: Bóg uzdrowił moje nerki! Mimo że lekarz stwierdził błąd w poprzednich badaniach, ja mu zaprzeczam. Widziałam tamten zapis, ponadto mam zdjęcia ze starego USG. Wyraźnie widać różnicę. Wiem, co przeżyłam i wiem, co się stało. Bóg dał mi nową nerkę i nowe



Dziękuję Bogu Najwyższemu,
że to uczynił.
Uzdrowił moje serce i moje nerki!
Dziękuję też, że wlał w moje serce
wieczność. Chcę żyć tak,
aby w wieczności być blisko Niego,
umiłowanego Pana, Jezusa Chrystusa

serce! On bada i ma moc uleczyć. Bada też w konkretnym celu: *aby oddać każdemu według jego postępowania, według owocu jego uczynków* (Jr 17,10b).

Jestem przykładem tego, jak naszemu Bogu zależy na nas, mimo że my sami tak często jesteśmy daleko od Niego. Ta miłość

tak wielka i niewyjaśniona, całkowicie bezwarunkowa, czasem irracjonalna, niepojęta woła nas po imieniu. Ta miłość nigdy nie ustaje! Nieustannie wstawia się za nami u Ojca, aby nie ustawała wiara nasza. Obym wytrzymała w boju, czego i Tobie, kochana siostró i kochany bracie, życzę z całego serca.

Boże lekarstwo

Urodziłam się w rodzinie katolickiej. Mieszkaliśmy w Częstochowie. W naszym domu Słowo Boże nie było znane. Wiedzieliśmy za to, co znaczy przemoc, rękoczyn, awantury, strach. A wszystko z powodu alkoholu. Gdy ojczym przychodził do domu pijany, musieliśmy często uciekać z domu. Myśleliśmy tylko o tym, jak przeżyć dzisiejszy dzień. I tak wzrastaliśmy w poczuciu winy, nienawiści i obawy o przyszłość.

Chciałam poznać swoją przyszłość. Zwróciłam się do okultyzmu i spirytyzmu. Oczywiście, nie zdawałam sobie wówczas sprawy, że za tymi rzeczami stoi diabeł. Mając 17 lat, zaczęłam wróżyć z kart. Horoskopy wydawały mi się zbyt płytkie i powierzchowne, a ja potrzebowałam bardziej konkretnych informacji. Przychodziły do mnie osoby z zewnątrz, którym stawiałam karty, pobierając za to opłatę. Jednak chociaż innym potrafiłam wywróżyć przyszłość, to jednak przede mną karty nie chciały jej odsłonić.

Nie wiedząc kiedy, zostałam związana siłami nieczystymi. Ogarnął mnie dziwny niepokój i strach, zaczęłam źle sypiać. Trwało to jakiś czas, chciałam więc z tym skończyć, ale nie byłam w stanie. Zaczęłam szukać pomocy. Udałam się więc do pewnej wróżki, która jako pierwsza w młodości stawiała mi karty. Powiedziała jej, co mnie dręczy, ona rozłożyła karty, ale szybko je złożyła. Powiedziała, że czeka mnie zmiana, ale ona nie może mi powiedzieć, na czym ta zmiana będzie polegała. Potem wręcz wyprosiła mnie z domu, mówiąc, abym już nigdy do niej nie przychodziła, gdyż ona sobie tego nie życzy. Powiedziała też, abym poszła na Jasną Górę i wyspowiadała się. Tak też zrobiłam.

Stałam jako trzecia w kolejce do konfesjonału i nagle poczułam, jakby ktoś chwycił mnie za ramiona, obrócił i wypchnął do wyjścia, mówiąc przy tym: „Co ty tutaj robisz, uciekaj, to nie jest twoje miejsce”. Kiedy się zatrzymałam i obejrzałam za siebie, stwierdziłam, że nikogo za mną nie ma. Znow znalazłam się w martwym punkcie. Teraz wiem, że to anioł odciągnął mnie od konfesjonału, gdyż Bóg miał dla mnie przygotowaną inną wspólnotę.

Koleżanka zaproponowała mi, aby pojechała do wróżki wróżącej z kart tarota. Przy okazji może nauczę się czegoś od niej i podniosę swoje kwalifikacje wróżbiarskie. Pojechałyśmy więc. To była bardzo nieprzyjemna wizyta. Wróżka stwierdziła, że nie postawi mi kart, ponieważ bije ode mnie coś, z czym ona nie chce mieć nic wspólnego. Powiedziała, że mam nawet nie dotykać jej przedmiotów. Wróciłam więc do domu, nie wiedząc, w którą stronę mam się udać. Dom nie był moją ostoją, w kościele nie było dla mnie miejsca. Było mi coraz trudniej. „Po co w ogóle żyć? Dla kogo?”, myślałam wówczas.

Od dwóch lat przyjaźniłam się z pewną rodziną, która zaczęła mi mówić o Jezusie. Zamiast chaosu i awantur w tej rodzinie panował spokój i harmonia, na stole zamiast butelek z piwem, leżała Biblia.

Był to czas powstawania zboru w Częstochowie. Zaprzyjaźniona rodzina powierzyła swe życie Jezusowi, a On zaczął ją zmieniać. Oni zaczęli mi mówić o Jezusie, a ja, nie mając nic do stracenia, słuchałam. Skorupe, w której zasklepione było moje serce, przebiły słowa: „Agnieszko, jeżeli się nie nawrócisz i nie powierzysz Jezusowi, nie przyjmiesz

zbawienia z Jego rąk, pójdiesz na wieczne potępienie". Słyszając te słowa, po prostu skamieniałam.

Potem zostałam zaproszona na nabożeństwo do zboru. Zanim poszłam, ktoś zadzwonił do mnie. Usłyszałam w słuchawce nienaturalny głos mówiący: „Nie możesz przestać wróżyć, od tego się już nie uwolnisz”. Potem w słuchawce pojawiły się groźby: „Jeżeli przestaniesz wróżyć, będziesz tego żałowała”. Odłożyłam słuchawkę i po wewnętrznej walce udałam się na nabożeństwo do zboru. Tam podjęłam najważniejszą decyzję w życiu i oddałam swe serce Jezusowi Chrystusowi. To był pamiętny dzień - 13 czerwca 1993. Miesiąc później przyjął chrzest na sposób biblijny, przez całkowite zanurzenie w wodzie.

Atmosfera w moim domu nie zmieniła się, ale ja czułam się bezpieczna, bo należałam do Jezusa. Ojczym nadal mnie bił. Trwało to jeszcze 2 lata. Kiedyś wyjaśnił, dlaczego mnie bije. Stwierdził: „Nie jestem w stanie znieść tego, co mówiłaś mi o Jezusie.

To we mnie krzyczysz i dlatego dostajesz”.

Zrozumiałam, że cierpię dla Jezusa i to nappełniło moje serce radością. Z drugiej strony czułam jednak żal, że ojczym, choć słyszał Ewangelię, świadomie ją odrzucił. Modliłam się o to, abym mogła mu przebaczyć i zapomnieć o wszystkich doznanych krzywdach. Pan mnie wysłuchał, dał mi pokój i wolność.

Kiedy oddałam swoje serce Jezusowi, moja mama, która do tej pory była wierząca, ale niepraktykującą katoliczką, stała się fanatyczną wyznawczynią religii katolickiej. Z powodu mego odejścia z tego kościoła, wyrzuciła mnie z domu, zaznaczając, że mój powrót na jego łono uspokoi całą sytuację. Ponieważ trwałam w decyzji pozostania blisko Jezusa oraz uczęszczania do zboru, było mi dane zakosztować trochę cierpień dla Chrystusa, jednak w tym doświadczeniu nie pozostałam sama. Pan zatroszczył się o mnie i miałam schronienie. Poza domem zmuszona

byłam przebywać trzy miesiące. Potem mogłam wrócić do rodzinnego domu, ale przez cały czas pobytu w nim znosiłam urągania i przykrości ze względu na Pana. Staralam się znosić to w pokorze, cichości i miłości, nie chowając żadnej urazy w sercu do mamy. Niestety, mama odeszła z tego świata, nie pojednawszy się z Bogiem.

Mam też młodszą siostrę, z którą nigdy nie miałam dobrych relacji. Trwało to latami, dopóki Pan nie otworzył mi oczu i pokazał mi, że ją krzywdzę, będąc już Bożym dzieckiem. Pokutowałam przed Panem i wyznałam siostrze moją winę. Wtedy nasze relacje zostały odbudowane i obydwie doznałyśmy uzdrowienia z przeszłości.

Po moim nawróceniu napisałam świadectwo, które zostało zamieszczone w „Punkcie Zwrotnym”. Przeczytał je pewien człowiek mieszkający stosunkowo daleko od mojego miasta... Ale nie wyprzedzajmy faktów.

Kiedy zaczęłam uczęszczać do zboru, Bóg włożył w moje serce przeświadczenie, żebym nie przywiązywała się do mojego miasta, do tych ludzi, gdyż nie będę tu mieszkać. Przekonanie to było coraz mocniejsze. A potem, w lipcu 1996 roku, podczas ewangelizacji namiotowej odbywającej się w moim mieście, poznałam człowieka, który od czternastu lat jest moim mężem. Początkowo sama myśl o zamążpójściu napawała mnie obawą. Obraz rodziny, a przede wszystkim małżeństwa, jaki wyniosłam z domu, był tak dramatyczny, że obawiałam się i byłam przekonana, że w moim małżeństwie sytuacja może się powtórzyć. Gdyby nie ingerencja Pana do zawarcia naszego małżeństwa nigdy by nie doszło.

Po wyjściu za mąż i przeprowadzeniu się do Wisły rozpoczął się proces uzdrawiania mojej skałczonej osobowości.

Do tej pory w domu słyszałam ciągle: „Jesteś do niczego, brzydka, nikt cię nie zechce. Do niczego się nie nadajesz; spójrz, jak ty wyglądasz, kim ty jesteś...”. Te słowa były powta-

rzane tak często, że w końcu uwierzyłam w to i wytworzyłam sobie negatywny obraz samej siebie. Zostałam uodporniona na wszelkie komplementy, adorację mojego męża odbierałam jako obrażę, gdyż w moim przekonaniu prawda była zupełnie inna. Myślałam, że mąż po prostu kpi sobie ze mnie.

Kiedy jednak zorientowałam się, że jestem szczęśliwą żoną, przyszedł do mnie szatan i powiedział, żebym się nie łudziła, bo ta bajka szybko się skończy. „Będziesz przeżywała to samo, czego doświadczyłaś w domu rodzinnym. Inaczej być nie może.” Uwierzyłam tym podszeptom. Dałam się nabrać. Aby przyspieszyć u męża reakcje negatywne, które widziałam u ojczyma, prowokowałam męża, chciałam się przekonać, że wszyscy mężczyźni są tacy sami: kłamliwi, zdradziecy, skorzy do rękoczynów. Jednak, chwała Bogu, przekonałam się, że mój mąż jest zupełnie inny. Na moją złość odpowiadał miłością. Zamiast uderzenia doznawałam przytulenia.

Kiedyś, jeszcze w czasie narzeczeństwa, Leon powiedział mi, że modli się, aby być dla mnie Bożym lekarstwem z Bożej półki. Tak więc Bóg we właściwy sobie sposób i w każdej sytuacji leczy moją zranioną osobowość. Gdy sięgam pamięcią wstecz, widzę, jak wielkie dzieło On wykonał w moim życiu. Chwała Mu za Jego łaskę i miłość. Jednak dużo zależy od nas samych, od postawy naszego serca, na ile pozwolimy Bogu, aby mógł w nas dokonać przemiany. Tylko On jest w stanie uleczyć nas z naszych zranień, cierpień, grzechów. Nieleczzone serce doprowadzi nas do choroby duszy, do kalectwa duchowego. Jest to choroba zakaźna przechodząca na następne pokolenia, trucizna, która rozszerza się na wszystkie dziedziny życia danej rodziny czy społeczności. Ja, dzięki Bogu, jestem już od niej wolna!

I.

Byłam dzisiaj w szpitalu na rehabilitacji. Zabieg, któremu byłam poddawana, trwał około 30 minut. Wyjątkowo nie lubię szpitali. Nagromadzony tam ból, cierpienie, rozpacz i przekleństwa to trudna do zniesienia mieszanka. W szpitalach ludzie umierają, a zamieszkujące ciała byty szukają sobie nowego lokum. Od strony duchowej szpitale to nieciekawie miejsca i lepiej trzymać się od nich z daleka, o ile to oczywiście możliwe. Niestety, od lipca 2009 przez półtora roku byłam stałym gościem placówek szpitalnych.

Najpierw reumatologia. Tam lekarka wyčuła guzek w mojej prawej piersi. Zupełnie się tym nie przejęłam. Zrobiono mi USG, a badanie wykazało zmianę, więc dostałam skierowanie na biopsję oraz na mammografię. Biopsja nic złego nie wykazała, natomiast w mammografii ujawniły się dodatkowo dwie zmiany w drugiej piersi. Dostałam więc skierowanie na kolejną biopsję. Ponieważ zmiany były głęboko (USG ich nie wykazywało), biopsja ta była wykonywana inną techniką, z użyciem mammografu, tak zwane stereo.

Gdy przyszły wyniki, lekarka powiedziała: „To jest prawdziwy rak”. Chociaż liczyłam się z taką diagnozą, to gdy ją usłyszałam, trudno było mi sobie poradzić ze swoimi myślami i emocjami. Byłam otepiąta. Starałam się dzielnie trzymać, ale nie bardzo mi to wychodziło. Usiadłam na schodach i zaczęłam głośno płakać. W głowie kłębiły się pytania: „Dlaczego mnie to spotkało? Czy to już koniec? Co z moimi planami? Czy jest dla mnie jakieś jutro?”

Wszystko w moim życiu i w życiu mojej rodziny wywróciło się do góry nogami. Uporządkowałam wszystkie sprawy formalno-prawne, spisałam testament. I o ile to możliwe, zaczęłam walczyć o utrzymanie normalności w codziennym życiu.

Świadectwo uzdrowienia

Rak jest bardzo podstępny. Próbuje zdominować myśli, wysysa siły i chce zajmować kluczowe miejsca w życiu chorego i jego rodziny. Trudno jest zignorować jego obecność. Wiedziałam, że nie wolno mi się na nim koncentrować, ponieważ jeśli na czymś skupiasz uwagę, zaczyna to rosnąć i nabierać siły.

Od chwili diagnozy do operacji minęły 2 tygodnie. W tym momencie wpadłam w tryby maszyny i biegłam od lekarza do lekarza, od szpitala do szpitala. Byłam tym przytłoczona. Jedyne, czego pilnowałam, to żeby czegoś nie pominąć.

Chirurg wyciął z lewej piersi zmiany, czyli tak zwanego „prawdziwego raka” i węzeł wartowniczy, a z prawej (jak sam określił: „w kompakcie”) guzek, od którego wszystko się zaczęło, a biopsja nie wykazała zmian nowotworowych. Po operacji wróciłam do domu i czekałam na wynik badań histopatologicznych. Byłam przekonana, że to koniec moich problemów.

Kiedy otrzymałam wyniki, okazało się, że moje przekonania i oczekiwania, a stan faktyczny - to zupełnie dwie różne rzeczy. Lekarz określił wyniki badań jako krańcowo złe. Wtedy pomyślałam, że pewnie tak wygląda horror. W lewej piersi były zaatakowane wszystkie wycięte węzły, a rak w skali złośliwości od 1 do 4, określono na 3. Do tego w prawej piersi „kompaktowy guzek” okazał się nowotworem rozsianym. Od tego momentu miałam wrażenie, że dla lekarzy stałam się interesującym przypadkiem. Obie piersi zaatakowane nowotworem, a każda innym.

Chirurg stwierdził, że potrzebna jest kolejna operacja. Nie decydował sam, bo zakres operacji ustalany jest w porozumieniu z onkologiem.

Chwile oczekiwania na decyzję co do kolejnej operacji wypełniały mi kłębiące się w głowie pytania: „Czy stracę obie piersi? Czy się na to zgodzić? A może wcale nie kwalifikuję się do operacji i odeślą mnie do domu, że bym tam umarła?”. Wiedziałam, że z medycznego punktu widzenia moje szanse są znikome.

Stałam przed gabinetem onkologa i miałam świadomość, że od tego co wyjdzie na zdjęciach, bardzo wiele zależy. Czułam jak grunt usuwa mi się spod nóg. Tak niewiele ode mnie zależało. Byłam jak kula, która stacza się po równi pochyłej, coraz szybciej i szybciej. Rozpaczliwie próbowałam nad czymś zapanować. Nad tym, co się dzieje, nad myślami, nad emocjami, ale nie miałam nad niczym kontroli, a każda wiadomość, jaką otrzymywałam, była gorsza od poprzedniej. Stałam na korytarzu przerażona tym, co się wokół mnie dzieje. I wołałam do Boga: „Boże, nie pozwól mnie zepchnąć w czarną otchłań rozpacz!” Walczyłam z emocjami i myślami, aby złapać chociaż trochę równowagi.

Stałam więc na korytarzu przed gabinetem i czekałam na wywołanie zdjęć jak na wyrok. Wtedy zdałam sobie sprawę, że coś zmienia się w atmosferze wokół mnie. Zupełnie, jakby pod toczącą się kulę podłożono rękę i powiedziano: „Dość! Ani milimetra dalej!”.

Informacje, jakie mi przekazano, nie były optymistyczne. Poważne miny lekarzy tylko utwierdzały mnie w tym, że naprawdę jest kiepsko.

W grudniu byłam po raz drugi operowana. Z lewej strony zostały wycięte węzły. Lekarz powiedział, że „poszedł po całości”. Z prawej - dodatkowe poszerzające cięcie i wycięty węzeł wartowniczy. Miałam pocięte obie pachy i obie piersi. Od tej pory wszyscy lekarze, któ-

rzy mnie oglądają, bardzo się dziwią, że nie usunięto mi piersi i że to były tak zwane operacje oszczędzające. Jestem szczęśliwa, że tak się stało.

Po tej operacji zawieziono mnie na salę operacyjną. Spędziłam tam jedną z przełomowych nocy w moim życiu. W zasadzie większość czasu przespałam, ale gdy nad ranem się obudziłam, słyszałam, jak na łóżku obok jakaś kobieta ciężko oddycha. Była po złej operacji niż ja, niestety, zmarła. Po prostu przestała oddychać. Nic się specjalnego nie wydarzyło, tylko ustał oddech. To wspomnienie do mnie powraca. Zdałam sobie wtedy sprawę z kruchości życia. Ta kobieta opuściła ciało, odeszła. Dopiero wtedy zrozumiałam, że jutra może nie być. Oddech odejdzie i już po wszystkim...

Wiedzieć coś hipotetycznie, intelektualnie, to nie to samo, co zrozumieć. A do mnie dotarło, że czas poważnie potraktować to, co będzie po opuszczeniu fizycznego ciała. Po powrocie do domu zaczęłam poświęcać czas na modlitwę, czytanie Biblii, słuchanie nauczania biblijnego. Każdą wolną chwilę wykorzystywałam na szukanie Boga.

Już w styczniu poszłam na pierwszą chemię. Każdemu choremu lekarz onkolog ustala indywidualne dawki i indywidualną mieszankę leków. Jest to uzależnione od tego, jaki jest nowotwór, na podstawie badań histopatologicznych. Każdy chory może mieć inną chemię. Często powtarza się lek nazywany „chemią czerwoną”, ale to jest tylko jeden składnik w całym zestawie. W moim odczuciu wcale nie najgorszy.

Miałam wyznaczone 6 kursów chemii, co 21 dni. Przyjeżdżałam do szpitala dzień wcześniej w celu pobrania krwi. Jeśli wyniki badania krwi nie byłyby dobre, to chemia nie zostałaby podana. W szpitalu dość często dochodziło do takich sytuacji. Czasem pacjenci przyjeżdżali z daleka i nie podawano im chemii. U mnie wyniki badań krwi zawsze

były w normie, więc wszystkie chemie miałam o czasie. Już po drugiej chemii straciłam włosy. Chociaż miałam świetnie dobraną perukę, nie lubiłam jej nosić. Czasem tylko zakładałam „fryzurę”, żeby nie stresować innych.

Na samo wspomnienie tego, co przeżyłam podczas chemii, mam ochotę odejść od komputera i zakończyć pisanie. To, co dzieje się, kiedy kropla po kropli trucizna wlewa się do żyły, jest trudne do opisania. Czasem miałam wrażenie, że nie wstanę z łóżka, że już tam zostanę. A były i takie momenty, kiedy myślałam, że to niezły pomysł, żeby odejść. Kiedy było naprawdę źle, powtarzałam w myślach: „Panie Jezu, dusza moja w rękach Twoich, Panie, przyjmij ducha mego”. Byłam tak blisko odejścia, że Bóg był dla mnie bardziej realny niż otaczający mnie ludzie. Każda kolejna chemia była gorsza od poprzedniej, bo organizm był wyniszczony. Na każdą chemię jeździłam z córką. W najtrudniejszych momentach trzymała mnie za rękę i po cichutku się za mnie modliła.

Z przykrością patrzyłam, jak wielu ludzi było na sali samych. Jedna kobieta miała podawaną chemię, a w tym czasie jej syn siedział w samochodzie i denerwował się, że to tak długo trwa. Inna brała chemię na guza mózgu. Miała problem z zapamiętaniem, gdzie jest łazienka i nie było z nią nikogo bliskiego, kto mógłby pomóc, bo rodzina była zajęta bardzo ważnymi sprawami zawodowymi. Takich sytuacji było sporo. Do wyjątkowych należały przypadki, w których z chorym przychodził ktoś bliski. Nie wiem, jaka jest statystka, może akurat w tym czasie, kiedy ja chodziłam tak się zdarzyło. Było to smutne i przygnębiające.

Ledwie skończyłam chemię, a zaraz zaczęły się naświetlania podawane codziennie od poniedziałku do piątku. Na obie piersi i pachy trwały łącznie 15 minut. Na początku nie było żadnego problemu, ale po 2 tygodniach miałam wrażenie, że kurek z siłą w moim ciele został zakręcony, bo cała zgromadzona w nim

siła już wypłynęła. Byłam tak osłabiona, że obawiałam się prowadzić samochód, a dojście z przystanku do szpitala było problemem chociaż było to blisko. Przystawałam kilka razy, serce mi łomotało i nie mogłam złapać oddechu. W końcu naświetlania się skończyły. Lekarze zrobili, co mogli, ale pozostały pytania: „Co mam robić dalej? Jak żyć? Czy jest przede mną życie? A jeśli jest, to jak przeżyć to, co mi pozostało? Z całą pewnością nic teraz nie będzie takie jak wcześniej. Ale co robić? Czym się zająć?” Znajomi pytali, co będę robiła, a ja nie miałam pojęcia!

20 stycznia 2011 roku zauważyłam, że ponownie coś zmieniło się w atmosferze wokół mnie. Na początku nie mogłam się zorientować, o co chodzi. Wreszcie zdałam sobie sprawę z tego, że nie ma już we mnie i wokoło mnie raka! Nie ma! Wszystkie ograniczenia wynikające z jego obecności zniknęły. Poczulałam się lekka jak ptak. Zrobiłam badania kontrolne, w opisie mammografii jest napisane, że nie ma zmian „wznowieniowych”. Miałam też robioną scyntyografię kości i tam też potwierdziło się, że raka nie ma. To znaczyło, że jestem zdrowa. Teraz jedynie pozostało utrzymać dane mi przez Boga uzdrowienie.

II.

Zanim przyjął Pana Jezusa do serca, prowadziłam firmę szkolącą z zakresu ezoteriki, zajmowałam się między innymi bioenergoterapią. Mam trochę doświadczenia w zakresie tak zwanego „uzdrowiania”. Sama wykonywałam zabiegi nazywane potocznie operacjami falowymi i fantomowymi oraz inne. Zdałam egzaminy i posiadałam uprawnienia do wykonywania zawodu bioenergoterapeuty. Zostałam również inicjowana na mistrza reiki i tym samym mogę zarabiać, wykonując zabiegi reiki. Są to uprawnienia do wykonywania zawodu zdobyte zgodnie z prawem, uznawane w Polsce i Unii Europejskiej. Ponieważ wiem trochę więcej o „świecie du-

chowym” niż przeciętny człowiek, decyzję o sposobie leczenia podejmowałam w pełni świadoma, z czym mam do czynienia.

Znajomi przysyłali mi linki do różnych stron w internecie. Były tam opisywane lub sfilmowane różne cudowne metody leczące raka. Siedziałam przed komputerem godzinami i oglądałam, jak rak znika po zastosowaniu soków, witamin, olejów, mieszanek witaminowych, ziołowych czy innych suplementów. Siedziałam, oglądałam, analizowałam i szukałam ratunku dla siebie. Zastanawiałam się, która z tych metod może być wystarczająco skuteczna? Doszłam do przekonania, że żadna.

Przypominałam sobie różne historie, jakie miały miejsce w przeszłości. Przypadki, z jakimi się zetknęłam, pracując jako bioenergoterapeuta. Analizowałam je i doszłam do wniosku, że choroby nowotworowe są konsekwencją grzechu, przekleństw i klątw, które na nas zostały ściągnięte oraz konsekwencją dotychczasowego życia. Zdawałam sobie sprawę z tego, że rak jest przeciwnikiem, którego nie pokona żaden lek, żadna dieta ani suplement.

Równolegle czytałam Biblię i analizowałam opisane tam przypadki uzdrowień. Czytałam Nowy Testament pod kątem uzdrawiania. Ewangelie i Dzieje Apostolskie są naszpikowane historiami o uzdrowieniach i uwolnieniach. Te dwa elementy często się ze sobą łączą – uzdrowienie i uwolnienie. Ale jedynymi „gadżetami”, których używał Pan Jezus były słowo, ręce i czasem ślina. W przypadku apostoła Piotra wystarczyło, żeby jego cień padł na chorego, a ten odzyskiwał zdrowie. Więc skoro tak było, to znaczy, że do uzdrowienia było potrzebne coś, co nazywa się moc Boża i było to całkowicie wystarczające. Myślałam, że gdyby były potrzebne jakieś zioła czy inne specyfiki, to za Panem Jezusem, a potem za apostołami jechałyby wozy nimi załadowane. A tu nic, tylko Boża moc...

Moc Boża pochodzi od Boga, więc to do Niego trzeba po nią iść. Zastanawiałam się, co

zrobić, żeby ta Boża moc mnie uzdrowiła? Czytałam Nowy Testament i doczytałam się. Potrzebna była wiara. Moc Boża działa poprzez wiarę.

Zwróciłam też uwagę na bardzo ważną sprawę. Pan Bóg ustanowił porządek, który powinien być przez człowieka przestrzegany. Ustanowił hierarchię we wszystkich sferach życia. Kazał być posłusznym królom i ich namiestnikom. W Polsce nie ma króla, ale jest prezydent, premier, ministrowie. Jest ministerstwo zdrowia, nie ma natomiast ministerstwa medycyny alternatywnej. Postanowiłam więc, że poddam się wszystkiemu, co zaproponują lekarze. Ale tylko ci lekarze, którzy pracują w oficjalnych zakładach leczniczych, takich jak przychodnie i szpitale. Natomiast wszystkich tych, którzy uprawiają „radosną twórczość”, postanowiłam omijać szerokim łukiem.

Pomyślałam też, że jeśli będę posłuszna Bożej woli, to będę miała prawo do reklamacji, a jak coś zacznę robić na własny rachunek, to do kogo się zwrócę z pretensją jak nie wyjdzie? Nie chciałam pozbawiać się prawa do reklamacji. Uczepiłam się Słowa Bożego i zawartych tam obietnic. Postanowiłam być posłuszna, nawet gdyby mi się to nie podobało.

III.

Ponieważ byłam zaangażowana w okultyzm, diabeł uważał mnie za swoją własność, a on bardzo nie lubi, jak mu się coś odbiera. Dlatego w stosunku do mnie stosował to, co potrafi najlepiej, czyli zastraszenie. W szpitalu, do którego jeździłam do onkologa, do gabinetu wchodzi się bezpośrednio z korytarza. Z tego korytarza jest też wejście na oddział onkologii kobiecej. Prawie zawsze, gdy tam byłam, widziałam wózek, który jechał po zmarłą. Najpierw jechał na oddział, a po kilku minutach wracał.

Pół roku po zakończeniu leczenia robi się kontrolne badania, aby stwierdzić, czy nie ma

nawrotu choroby. W związku z tym pojechałam do szpitala odebrać zdjęcia. Moja wizyta w szpitalu trwała 20 minut i akurat tego dnia, w tym czasie, wózek przejechał mi przed nosem i jeszcze zdążył wrócić. Po odbiór zdjęć przyszła też jakaś kobieta. Przysiadła się chwilę po tym, jak wózek odjechał. Zapytałam, czy ona też widuje ten wózek, a ona powiedziała, że leczy się tam kilkanaście lat i ani razu nie była świadkiem wywożenia zwłok.

Gdy byłam na oddziale, przeszłam się po korytarzu. Drzwi do jednej z sal były otwarte i zobaczyłam surrealistyczną scenę: leżąca kobieta walczy o każdy oddech, a pod ścianą usadzone cztery osoby - zapewne rodzina - czekające aż wreszcie nastąpi koniec. Bardzo mną poruszyła niemoc, bezradność, zagubienie i przerażenie tych ludzi. Za chwilę podeszła pielęgniarka i zamknęła drzwi, ale diabeł za dbał o to, żebym to zobaczyła. Nie było to miłe, zwłaszcza, że za kilka minut podłączono mi kolejną chemię. Im bardziej szatan mnie straszył, tym bardziej byłam zdeterminowana żeby się mu nie dać. Takich i innych prób zastraszania było sporo. Starłam się nie dawać, ale nie jestem z kamienia i nieraz zdarzało mi się płakać.

IV.

Chorowanie już samo w sobie jest trudne. Ujawniają się rzeczy, o których starałam się nie myśleć. Uzewnętrznia się prawda o relacjach. Bardzo mi pomagało czytanie Nowego Testamentu, znajdowałam w nim prawdziwą pociechę. Myślałam sobie: „I tak będę musiała umrzeć”. Teraz, za kilka lub kilkanaście lat. Jedynie Pismo Święte dodawało mi otuchy i siły, aby zmierzyć się z taką rzeczywistością. Pan Jezus jest Bogiem i to Bogiem żywym. On umarł, ale i zmartwychwstał. On troszczy się o swoje dzieci. To było zaskakujące jak troszczył się o mnie i czyni to nadal. Otwierał wszystkie drzwi, stawiał na mojej drodze lu-

dzi, których w danej chwili potrzebowałam.

Może podam przykład... W środę lekarka wymacała zgrubienie w prawej piersi, w piątek miałam USG. Zeszłam piętro niżej i zapisałam się do onkologa na wtorek. Onkolog kazała zrobić mammografię (miałam zrobić na zewnątrz, bo w tym czasie w szpitalu wymieniali aparat). Miałam też poddać się badaniu ginekologicznemu. W środę pani ginekolog mnie przyjęła poza kolejką. Tego samego dnia miałam mammografię, a w czwartek zrobiono mi pierwszą biopsję. W ciągu 8 dni od wycucia pod palcami guzka miałam zrobione wszystkie badania. Gdy pojechałam zrobić mammografię, usiadła ze mną pielęgniarka i pocieszając mnie, niemal trzymała za rękę do czasu, gdy weszłam na badanie.

Tak było przez cały czas. Gdy czekałam na decyzję, co będzie z piersiami przed drugą operacją, pani wykonująca zdjęcia wyszła z pokoju zapytać, co postanowili lekarze. Gdy dowiedziała się, że nie stracę piersi, rzuciła mi się na szyję i popłakała z radości. Pragnę zaznaczyć, że korzystałam tylko z usług służby zdrowia w ramach ubezpieczenia. Nie wydałam ani złotówki na prywatne leczenie. Mam jak najlepsze zdanie o ludziach pracujących w służbie zdrowia.

Tak się złożyło, że lekarze w szpitalu, w którym się leczyłam, z końcem roku odchodzili z pracy. Lekarz onkolog, która mnie prowadziła, również. Zastanawiałam się, kto mnie będzie leczył. Gdy przyjechałam na ściągnięcie chłonki, chirurg poinformował mnie, że był u lekarki, która jest ordynatorem oddziału onkologii i poprosił, żeby się mną zajęła. Miałam się stawić u niej w konkretnym dniu o wyznaczonej godzinie. Lekarka przyjęła mnie, ale gdy zobaczyła wyniki badań histopatologicznych, wyczułam napięcie. Zauważyłam, że jest to taka bariera obronna stosowana podświadomie: nie nawiązywać bliższej relacji z kimś, kogo rokowania są marne. Lekarze to też ludzie i gdy odejdzie ktoś,

kogo polubili, to przeżywają, więc lepiej dla higieny psychicznej zachować dystans. Przed pierwszą chemią poprosiłam lekarkę, żeby mnie pocieszyła, bo panicznie się bałam. Wzięła moje papiery do ręki, dokładnie przejrzała i powiedziała, że nie wiadomo, kto po której stronie życia stoi. Pomyślałam, że marne to pocieszenie, ale przynajmniej była uczciwa.

V.

W lipcu minął rok od zakończenia mojego leczenia. Chemia spustoszyła mój organizm i skutki tego zapewne będą odczuwalne jeszcze przez jakiś czas. Niemniej jednak, z każdym miesiącem widzę, jak powracają mi siły i chęć do życia. Wartością, którą zyskałam, jest to, że już nie boję się śmierci, bo wiem, co ze mną będzie, gdy przekroczy tę granicę.

Kiedyś usłyszałam stwierdzenie, że choroba jest łaską. Zupełnie tego nie rozumiałam, bo jak ból i cierpienie może być łaską. Teraz wiem, że zdanie to było prawdziwe. Gdybym zmarła nagle w jakimś wypadku, nie mogłabym już niczego zrobić dla swego życia wiecznego. A w moim przypadku czas choroby stał się czasem intensywnego poszukiwania Boga i nawiązywania z Nim prawdziwej relacji.

To Bóg trzyma dni mojego życia w swoich rękach i nie raka należy się bać, ale Boga. Bojaźń Boża jest początkiem mądrości. Wszystkim, którzy potrzebują wsparcia, właśnie mądrości życzę w podejmowaniu decyzji: czy wystarczą tylko lekarze, a może dać sobie szansę i dodatkowo sięgnąć po Boże Słowo?

P.S.

Dziś wiem, że człowiek nie ma prawa do reklamacji. W stanie emocjonalnym, w jakim się wtedy znajdowałam, myślałam jednak inaczej.



Przepisy Samarytanki

Bananowiec

Składniki:

Biszkopt: 5 jaj, 1 szklanka mąki pszennej, ½ szklanki mąki ziemniaczanej,
1 łyżeczka proszku do pieczenia, 1 szklanka cukru

Budyń: 1 litr nektaru bananowego, 3 budynie waniliowe

Bitą śmietaną: ½ l śmietany 30 %, cukier waniliowy, 2 opakowania fixu do śmietany

Lukier cytrynowy: 1 szklanka cukru, 2 łyżki mąki ziemniaczanej, sok z 1 cytryny.

Dodatkowo 3 lub 4 banany, 1 duża paczka herbatników „petitki”.

Sposób wykonania:

Upiec biszkopt, na biszkopcie poukładać pokrojone banany, zalać ugotowanym gorącym budyniem, wystudzić. Na budyń wyłożyć ubitą śmietaną, a na śmietaną poukładać herbatniki i zalać cytrynowym lukrem. Wstawić do lodówki. Palce lizać!



Smacznego!

Spotkania

W najbliższym czasie spotkania z Czytelniczkami „Samarytanki” planujemy w następujących miejscowościach: Montreal, Toronto, Częstochowa, Kluczbork, Oleśnica, Kłodzko, Ustron, Gorzów, Wałcz, Trzcianka i Jaworzno.

MONTREAL (Kanada), tel. (514)595-5630
Polski Kościół Pełnej Ewangelii
sobota, 14 kwietnia, godz. 13.00-18.00
Temat: „Być kobietą zrównoważoną emocjonalnie”
wykł. red. Tatiana Ilczuk-Hydzyk

TORONTO (Kanada), tel. (416)521-9900
Polski Kościół Pełnej Ewangelii
sobota, 21 kwietnia, godz. 16.00-20.00
Temat: „Życie między okładkami”
wykł. red. Tatiana Ilczuk-Hydzyk

CZĘSTOCHOWA ul. Wały Dzwernickiego 117/121, Częstochowski Park Przem.-Techn.
tel. 503 158 722
sobota, 12 maja, godz. 11.00-16.00
Temat: „Życie między okładkami”
wykł. red. Tatiana Ilczuk-Hydzyk

KLUCZBORK ul. Sybiraków 4, tel. 695 898 440
piątek, 18 maja, godz. 17.00-20.30
Temat: „Życie między okładkami”
wykł. red. Tatiana Ilczuk-Hydzyk

OLEŚNICA ul. Łużycka 22, tel. 71/314 45 54
sobota, 19 maja, godz. 11.00-16.00
Temat: „Kształtowanie wewnętrznego piękna”
wykł. red. Tatiana Ilczuk-Hydzyk

KŁODZKO ul. Wandy 1, tel. 785 998 732
Chrześcijańskie Centrum „Arka”
niedziela, 20 maja, godz. 10.00-14.00
Temat: „Być kobietą zrównoważoną emocjonalnie”
wykł. red. Tatiana Ilczuk-Hydzyk

USTRÓŃ k/Wisty, ul. Daszyńskiego 75,
tel. 33/853 24 17
sobota, 26 maja, godz. 11.00-16.00
Temat: „Być matką”
wykł. red. Tatiana Ilczuk-Hydzyk

GORZÓW ul. 30 stycznia 14 A, tel. 510 605 090
piątek, 1 czerwca, godz. 17.30-20.30
Temat: „Kobieta według Bożego serca”
wykł. red. Tatiana Ilczuk-Hydzyk

WAŁCZ ul. Wilcza 8A, tel. 67/258 97 67
sobota, 2 czerwca, godz. 11.00-16.00
Temat: „Kształtowanie wewnętrznego piękna”
wykł. red. Tatiana Ilczuk-Hydzyk

TRZCIANKA ul. 27 Stycznia 27, tel. 668 414 788
niedziela, 3 czerwca, godz. 16.00-20.00
Temat: „Kuchnia i medycyna”
wykł. red. Tatiana Ilczuk-Hydzyk

JAWORZNO ul. Leśna 11, tel. 602 159 854
sobota, 16 czerwca, godz. 11.00-16.00
Temat: „Być kobietą zrównoważoną emocjonalnie”
wykł. red. Tatiana Ilczuk-Hydzyk

W następnym numerze:

Jak ucisk na nerw uratował moje małżeństwo

Świadectwo kobiety, która, będąc w czwartej ciąży, doznała kontuzji kręgosłupa, co powodowało nieustanny ucisk na nerw i silny ból niepozwalający jej sprawnie się poruszać. W tym samym czasie jej małżeństwo przeżywało kryzys. Kath opowiada, jak Bóg użył tej sytuacji, by przemówić, co zaowocowało zmianą jej postawy, a następnie uzdrowieniem relacji z mężem. Będziemy z pewnością zachęceni tym świadectwem, by wytrwać, nawet wtedy, gdy uważamy, że jesteśmy niesprawiedliwie traktowane przez męża. Bóg może bowiem wszystko obrócić ku dobremu, gdy jesteśmy Mu posłuszne.

Nie mogłam go zostawić

Świadectwo kobiety, która bardzo cieszyła się kolejną ciążą, aż do momentu, gdy lekarze zaczęli podejrzewać, że jej dziecko ma zespół Downa. Opisuje, jak przetrwała naciski, aby usunąć tę ciążę, narodziny, pierwsze chwile życia swego syna. Pozostawiona przez męża, który nie wytrzymał presji związanej z narodzeniem chorego dziecka, opisuje jak z roku na rok nie poddaje się i walczy o każdy kolejny dzień.

Jeżeli jesteś zainteresowana poruszaną w naszym czasopiśmie tematyką, jeżeli masz problem i potrzebujesz modlitwy lub porady duszpasterskiej, napisz do nas na adres:

Samarytanka

Skrytka pocztowa 17, 43-430 Skoczów
tel. 33 853 24 17
e-mail: tatiana.hydzyk@gmail.com

Zapraszamy na naszą stronę www.chmk.kz.pl

MIŁOŚĆ MATKI

Ałta Oliwiak

Chciałabym się o ciebie modlić
O twój dom, małżeństwo, byt
O twe dzieci, radość, zdrowie
O problemy, które masz

Wiem z własnego doświadczenia,
Że modlitwa mocą jest
A mój Bóg mnie nie opuszcza
Jezus zawsze słyszy mnie

On usłyszy także ciebie
Tylko daj Mu o tym znać,
Że Go pragniesz, potrzebujesz,
Że problemy w życiu masz

Zwróć się w ciszy do Jezusa,
Jezu, Panie! Pomóż mi!
A zobaczysz jak twe życie
Nagle zmieni kolor, kształt

Synku, bardzo ciebie kocham
Życie bym oddała swe
Za twe zdrowie, radość, uśmiech
Jezus także kocha cię

Wiem, że to jest niepojęte,
Że przekracza umysł nasz
Powiesz: Mamo, daj mi spokój.
Nie chcę tak postrzegać świata
Wychowałaś ty mnie, właśnie
Jestem taki jaki jestem!

Tak, kochane dziecko moje,
Wychowałam ciebie ja
Tylko wtedy nie wiedziałam,
Że Jezusa łaska trwa

Mnie tak samo wychowano
Bez nadziei, Boga, czci
Przekazałam ci, co miałam,
Doświadczyłam i poznałam

Ale teraz jest inaczej
Lepiej, głębiej w życiu trwam
Spokój mój ta myśl zakłóca
Że nie ujrzyś raju bram

Wiem, że trudno jest uwierzyć
W kogoś, gdy nie widzisz Go
Ale warto Mu powierzyć
Swe problemy, gniew i żal

Zwróć się w ciszy do Jezusa
A zobaczysz, jak to jest
Jak cię dotknie łaską swoją
Jak twe życie zmieni się

Proszę ja o ciebie Boga
Żeby Jezus dotknął cię
Ciebie proszę o pokorę
Módl się, Jezus słyszy cię

Samej śmierci się nie boję
Lecz zostajesz przecież ty
Pragnę widzieć ciebie w raju
Synku, proszę, pomódl się

Zwróć się w ciszy do Jezusa
Nigdy już nie będziesz sam
Spróbuj, uwierz, masz tę szansę
Jezus także kocha cię

